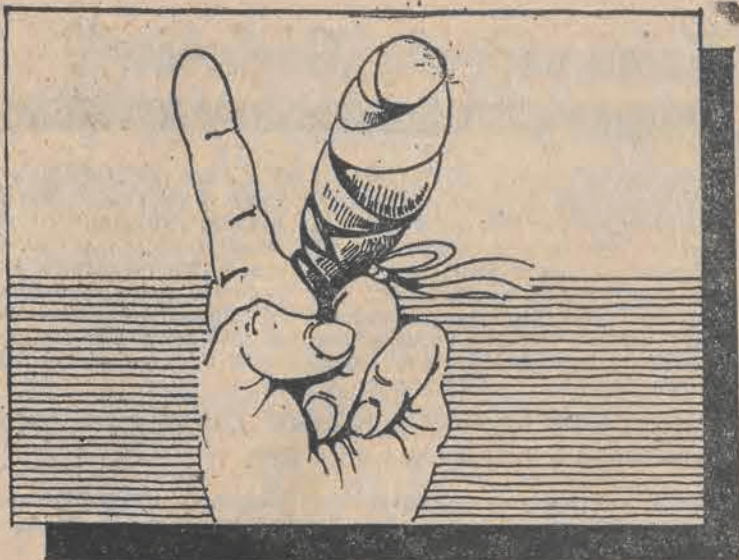




Rys. Dariusz Romanowicz

- ◆ Czy Józef Stalin był antysemitą? — str. 10
- ◆ Pierwsze starcia i kompromisy w parlamencie — str. 5
- ◆ Czy można wygrać ze spółdzielnią mieszkaniową? — str. 6
- ◆ Jak daleko do stacji Happy end? — str. 16
- ◆ Wypędzenie Polaków ze Lwowa — str. 2

Jurij Andropow musiał wiedzieć o panowaniu mafii w Uzbekistanie, ale... bał się o tym mówić.

Zwierzzenia byłego przewodniczącego KGB

Rozmowa z WŁADIMIREM SIEMICZASTNYM — szefem KGB w latach 1961—1967.

Z wystąpienia Władimira Siemiczastnego na Plenum KC WPKZM 29.10.1958 r.:

„I w porządnym stadzie znajdzie się parszywa owca. Taką parszywą owcę mamy w naszym socjalistycznym społeczeństwie w osobie Pasternaka, który wystąpił ze swoimi oszczerstwami, tzw. „utworami”. Ucieszył naszych wrogów do tego stopnia, że ofiarowali mu, nie biorąc pod uwagę artystycznych wartości jego książeczki Nagrodę Nobla. Nasi mistrzowie pióra mogą się poszczycić dziełami, których wartości artystyczne są bezsporne, ale ich autorzy nie zostali uhonorowani nagrodą, a za oszczerstwa, za paszkwili na ustrój socjalistyczny, na socjalizm, na marksizm Pasternak otrzymał Nagrodę Nobla (...).

Człowiek ten żył w naszym środowisku i otrzymywał więcej niż przeciętny człowiek pracy, który pracował, truduł się i walczył. A teraz człowiek ten wziął i pchnął w twarz narodu. Jak można to nazwać (...).

Jeśli porównać Pasternaka do świni, to świni nie zrobi tego, co on zrobił. (Okłaski). A Pasternak — ten człowiek zalicza siebie do najlepszych przedstawicieli społeczeństwa — on to zrobił. Napaskudził tym adziejad, napaskudził tym, z których pracy żyje i oddycha (Okłaski)...

— Ja i teraz uważam, że powieść Borysa Pasternaka „Doktor Żywago” nie jest utworem najwyższego gatunku — powiedział Siemiczastny. — Pamiętam, zaproszono nas do Nikity Chruszczowa na Kreml w przeddzień Plenum. Mnie i Adżubeja. Był tam też Michaił Susłow. Chruszczow mówił: — Ty jutro występujesz z referatem? — Tak — odpowiadam. — Nie masz nic przeciwko temu, w referacie trzeba przejechać się po Pasternaku. Powiemy teraz o co chodzi, a wy, potem zredagujecie to, Susłow popatrzy i — jutro... Podyktował dwie stronicę. Oczywiście z jego stwierdzeniem, że „nawet świni nie napaskudził”. Było tam jeszcze takie zdanie: „Myślę, że rząd radziecki nie będzie miał nic przeciwko temu, aby Pasternak, jeśli tak bardzo chce oddychać wolnym powietrzem, opuścił naszą ojczyznę”. Kiedy dyktował to, mówię mu: — Nikito Siergiejewiczu, nie mogę mówić w imieniu rządu. A on: — Ty powiesz, a my poprzemy cię okłaskami. Wszyscy zrozumieli. — Tak właśnie było.

Na drugi dzień po plenum w gazetach pojawił się list Borysa Pasternaka: „Do redakcji PRAWDY”, w którym zrzeka się Nagrody Nobla.

— A do komitetu Nagrody Nobla wysłał telegram: „W związku z tym, że w moim kraju przywiązuje się tak duże znaczenie do tej nagrody...”.

— Ale powieść nie zasługuje na to, rozumiecie... My sami tej powieści zrobiliśmy reklamę takimi akcjami. Zebrało się plenum Związku Pisarzy — pięćset osób. Wystąpiło czterestu. I żaden nie bronili...

Niedawno na spotkaniu ze studentami zadano mi pytanie: a dlaczego pan nie odmówił odczytania tego tekstu? Odpowiedziałem: — Chciałbym widzieć obecnego pierwszego sekretarza KC WPKZM, kiedy generalnie mu coś złego (właśnie teraz, w naszej sytuacji), a on odmawia.

— Dlaczego skonfiskowano powieść Wasilija Grossmana „Złote i los”?

— Nie jest prawdą jakoby KGB skonfiskował utwór. Zakaz wydał Michaił Susłow, a KGB nie miało z tym nic wspólnego. W czasie kiedy pracowałem w KGB nie zajmowaliśmy się Wasilijem Grossmanem w żadnej sprawie. Sprawami literatury jako takiej KGB oczywiście się nie zajmowało. Tylko tym, co trafiało, jak się mówiło, do gatunku utworów antyrządzieckich.

Przykładowo, u Aleksandra Sołżenicyna był taki utwór jak „Uczta zwycięzców”, pisany wierszem. Kopie trafiły w nasze ręce, kiedy nasi pracownicy dokonywali rewizji w innej sprawie — związanej z walutą. Tam Aleksander Sołżenicyn pisał: wymyślił sobie Matrosowych, Kosmodemiańskich, Koszewych i wypisawszy ich imiona na sztandarach wiedli młodzież na jatkę w wojnie. W ten sposób opisywano nasze sprawy związane z wojną, nie mówiąc już o tym, że sprostowano tam całe dowództwo armii. Proponowaliśmy wówczas, aby zebrać wszystkich pisarzy Moskwy i, bez komentarza, przeczytać im to. Pisarze są na tyle dojrzały i mądrzy, że zrozumieją, iż bardziej antyrządzieckiej, bardziej szkodliwej i wrogiej rzeszy nie ma. Sołżenicyn przecież odsiedział swoje... I oczywiście, był bardzo obrażony.

— A co się stało z pisarzami Siniawskim i Danielem? — Otrzymali 5 i 7 lat odsiedziele. Potem Siniawski, mówią, wyjechał, obecnie wyjechał na Sorbonie literaturę rosyjską. — Osądzono pisarzy według znanego już schematu: książek nikt nie czytał, ale pisarzy skazano. Czyżby ich książki były tak niebezpieczne?

— Nie strasznego w nich nie było. No, w alegorycznej formie... Był sąd i pisarze znowu wystawili oskarżycieli społecznych. Także obecnie, wydaje mi się, wy-

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny **Odgłosy**

NUMER 30 (1634)

ROK XXXII

23 LIPCA 1989 ROKU

CENA 80 ŻŁ



Collage: Grzegorz Gataśiński

Nikt nie miał czasu, aby wysłuchać historii jego małżeństwa od początku do końca. (2)

Glugla

JÓZEF RETMAN

Jan W. mówi szybko, bardzo szybko, jakby obawiał się, że w każdej chwili ktoś może mu przerwać i nie zdąży opowiedzieć wszystkiego. Mijają jednak długie godziny — on mówi, ja słucham — i nikt nie przerywa. Potem przyznaje, że zdarza mu się to pierwszy raz, nikt bowiem dotychczas nie miał ani dość czasu, ani ochoty, by wysłuchać historii jego małżeństwa w całości, od początku do końca. Dlatego nikt nie wie, jak było naprawdę.

Notuję — jak on ją zapamiętał.

1. W maju osiemdziesiątego

czwartego Jan W. zwolnił się z PKP. Zarobki były relatywnie coraz niższe, ceny rosły... Pomyślał, że pójdzie robić prywatnie, bo innego wyjścia nie ma. I poszedł — do piekarni. Robota ciężka — to fakt — ale pieniądze dwa razy więcej. To mu odpowiadało, zwłaszcza że żona od dawna prawie nie wnosila. Przez siedem lat siedział na urlopie wychowawczym i ani z tego pieniędzy, ani wygody, ani większego pożytku. Dwa razy brała chałupnictwo: dopóki pomagał, jakos szło, potem rezygnowali z niej, bo nie dawała rady. W domu też jak coś zrobiła, to od niechcenia, Dzieci chodziły zanie-

Jan W. nie mógł na to spokojnie patrzeć. Zwracał żonie uwagę, prosił, tłumaczył... I nie chodziło mu już tyle o siebie, bo pogodził się z myślą, że szczęśliwy nigdy z nią nie będzie, ale głównie — o córki. Myślał: niech przynajmniej one mają coś z życia. Dyskusje nie dawały jednak żadnego widocznego rezultatu, za to coraz częściej zamieniały się w małżeńskie kłótnie, a to pogłębiało jeszcze konflikt.

Z czasem każde z nich zaczęło żyć na swój własny rachunek. Dosłownie. Z tą jednak różnicą, że Maria W. brała z pieniędzy męża, on zaś z jej — gdy wróciła do pracy w biurze — nie. Nie pozwalała mu na to jego męska ambicja. Jeżeli chodzi o dzieci, to nigdy im nie żałował. Miał, mimo wszystko, poczucie obowiązku i dlatego bez słowa przyjął na siebie prawie cały ciężar zaopatrzenia domu w żywność. Biegał po sklepach, wystawał w kolejkach, załatwiał prywatną kielbasę... Nieraz zabierał też córki do pobliskiego baru, wiedząc, iż w szkole i przed szkołą nie zawsze najadają się do syta. Sam również musiał zjeść jakiś obiad. A w domu,

niestety, coraz rzadziej mógł na to liczyć.

I tak w nowym mieszkaniu — nareszcie z wygodami, dwupokojowym, choć ciągle zastępczym — zamiast być lepiej, było gorzej. Ale najgorsze zaczęło się dopiero wiosną osiemdziesiątego szóstego, dokładnie w święta Wielkiejnocy.

Jan W. spędził je zupełnie sam, gdyż żona bez uprzedzenia zabrała córki i wyjechała z nimi na wieś do swoich rodziców. Wróciły w dwa dni po, nie same jednak, lecz w towarzystwie teściowej, która do Łodzi przyjeżdżała raczej rzadko. I dlatego ten wspólny przyjazd wydał się Janowi W. podejrzany. Był akurat w domu, bo pracował na noc, przy chlebie w pewnej chwili usłyszał z korytarza głosy żony, dzieci i właśnie teściowej. Ona tutaj? — zaniepokoił się — Po co? Nigdy ich nie odwozila...

W tym momencie przyszedł mu dziwny pomysł do głowy: schowa się szybko w szafie i posłucha, o czym mówią. Może dowie się czegoś o sobie? Tak też zro-

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,

sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70, 32-89-70
Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Problematyka literacka:
Henryk Pustkowski.

Problematyka kulturalna:
Marian Zdrojewski,
Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Andrzej Gębarowski,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa

Jerzykowska, Zofia
Kędziora, Marek Koprowski,
Mirosław Kulik,

Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej
Makowiecki, Paweł

Tomaszewski
Grafik: Janusz
Szumański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałęsiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błazewski,
Marek Brzeziński

(Paryż — Londyn),
Grzegorz Gazda, Janusz
Janyst, Andrzej

Karolczak, Witold
Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Wasyl

Kocznow (Moskwa),
Włodzimierz Krzemiński,
Bogumił A. Makowski,

Zenon J. Michalski,
Adam Ochocki, Jerzy
Panasek, Dariusz

Romanowicz, Maciej
Świerkocki

Ogłoszenia: Biuro Reklam i
Ogłoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza
3/5 tel. 32 59 11.

Organizacja reklamy: Andrzej
Bartosiewicz, tel. 36-80-99

Za treść ogłoszeń redakcja nie
odpowiada

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo
Prasowe, RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 91-103 Łódź
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady
Graficzne RSW „Prasa-
Książka-Ruch” Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucji i zakładów pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłaca prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłaca prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 23 00 958 Warszawa konto PKO BP XV Oddział w Warszawie nr 1658 201045 139 11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla prenumeratców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Termin przyjmowania prenumerat na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 1477 D-10.

Przegląd prasy

Po upadku Powstania Warszawskiego Halina Szyrmer z domu Donimirska znalazła się w Lublinie. W marcu 1945 r. wraz z bratem Olgierdem zgłosiła się do Ministerstwa Administracji Publicznej z prośbą o skierowanie do pracy w byłych Prusach Wschodnich. Z tamtych stron wywodzi się ziemiańska rodzina Donimirskich.

W końcu marca 1945 roku przybyli do Olsztyna. Na miejscu zastali już kilkusetosobową grupę kolejarzy oraz pracowników Wojewódzkiego Urzędu Ziemskiego. Pełnomocnikiem rządu na Okręg Mazurski był pułkownik Jakub Prawin, a wicewojewodą znany działacz mazurski Jerzy Burski. Sekretarką obu panów została Halina Szyrmer. Natomiast jej brata mianowano starostą olsztyńskim.

W 1945 roku Halina Szyrmer-Donimirska miała 27 lat. Przed wojną zaliczyła dwa lata studiów w Głównej Szkole Handlowej w Warszawie (obecnie SGPIŚ). W czasie okupacji ukończyła kursy wojskowe i sanitarne oraz specjalny kurs Armii Krajowej przygotowujący do pracy na obszarze byłych Prus Wschodnich. Co zapamiętała z pierwszych dni pobytu w Olsztynie? Jak ocenia działalność pełnomocnika rządu polskiego? Na te pytania odpowiada w dwutygodniku „WARMIA I MAZURY” (nr 13). Rozmowę przeprowadziła Grażyna Sokolowska.

„Miałam wyjechać się bezładnie, ale zaraz w pierwszym dniu pracy zaczęły napływać nie wiadomo skąd, tłumy ludzi. Domagali się zaświadczeń, stwierdzeń ich polskie pochodzenie. Na dowód tego przynosili ze sobą różnego rodzaju dokumenty, często mówiące o tym, że ich właściciele działali w polskich organizacjach. Pisałymi też zaświadczenia w językach polskim i rosyjskim, ręcznie, bo maszyn do pisania wcześniej porozbijali żołnierze radzieccy, traktując je jako mienie polskieckie.

Właściwie miałam dwóch szefów: Jakuba Prawina i Jerzego Burskiego. Sekretariat, który prowadził, znajdował się na pierwszym piętrze ratusza, pomiędzy gabinetami pełnomocnika i wicewojewody. (...) Zazwyczaj z Jakubem Prawinem uzgadniałam kogo on przyjmie, a kogo skierować do Jerzego Burskiego, lub do nauczelników wydziałów. Ustalałam kolejność i terminy przyjęć.

Z całym przekonaniem mogę powiedzieć, że Prawin był bardzo życzliwy ludziom, dobrze się odnosił do ludności miejscowej i biał nad krzywiami, jakie ją wówczas spotykały. W zasadzie sprawy dotyczące tej ludności były w gestii wicewojewody Burskiego, niemniej Prawin bardzo się nimi interesował. Uważnie wysłuchiwał interesantów, doskonale zapamiętywał każde rozmówcę i szybko podejmował decyzję. Zawsze był uprzejmy i pogodny. Wspólnie pracowaliśmy od wczesnych godzin do późnego wieczora i nigdy nie widziałam go zmęczonego. Rytmował go natomiast, wprost niesamowicie, szabrowniczy, zarówno ci z Polski centralnej jak i Rosjanie. Zaciekle walczył o każdy sprzęt wywożony z tych terenów, a trzeba pamiętać, że były to czasy, gdy rozszabrowywano fabryki, różne zakłady i mieszkania. Potrafił w takich przypadkach interweniować w stacjonujących w Olsztynie władz Armii Czerwonej, a nierazko dzwonił w tych sprawach do Moskwy, korzystając ze specjalnej linii wojennej WCz (wysokiej częstotliwości).

Jakub Prawin darzył Halinę Szyrmer całkowitą zaufaniem. Dysponowała jego pieczęcią, którą zawsze trzymała w fartuchu. Niektórzy usiłowali okiełzać drogą zdobyć odpowiednie zaświadczenie podstępnie przez pełnomocnika rządu. Reagowała na to z oburzeniem.

„Przeżyliśmy dramatyczne dni, gdy okazywało się, że całe wsie warmińskie wysiedlano na Odrę, a transporty tej ludności po wcześniejszym ograniczeniu ze wszystkich, co posiadała, docierały do Olsztyna. Jeżeli Burskiemu i Prawinowi udało się taki transport cofnąć, to ludzie ci wracali do pustych ścian. Była to prawdziwa tragedia dla obu stron. (...)

Warmińscy i Mazurzy ze wschodnich powiatów, których wysiedlenie zostało akuracur w Olsztynie lub w okolicy, przychodzili do mnie często w sprawach bytowych, gdyż nie mieli gdzie mieszkać, cierpieli głód, nekaly ich choroby. To były trudne sprawy, ale pomagałam im w miarę możliwości. Nie z każdą tego typu sprawą chodziłam do Burskiego lub Prawina, lecz kierowałam interesantów do poszczególnych nauczelników, którzy mogli im przyjąć z pomocą. Osobiście za każdego z osobna ręczyłam.

Halina Szyrmer ma dziś 71 lat. W maju br. na olsztyńskim zamku została odznaczona Medalem Rodła.

NOTATKI LWOWSKIE 1946

Zmiany granic państwowych w powojennej Europie implikowały konieczność przesiedlenia milionów ludzi. Musieli opuścić swoje ojczyzny, pozostawiać groby najbliższych i często dorobek całego życia. Większość nie chciała nigdzie wyjeżdżać. Brutalnie wyganiano m.in. polskich mieszkańców Lwowa. Można o tym przeczytać w notatkach prof. Ryszarda Ganszyńskiego opublikowanych w miesięczniku „ODRA” (nr 6). W okresie od 4 maja do 6 czerwca 1946 roku pisał w formie listów do żony:

„Wszystkie instytucje i przedsiębiorstwa mają zwolnić Polaków do końca maja — taki nakaz dostały z Kijowa: ale nie wszędzie mogą ich zastąpić, zwłaszcza gdy chodzi o siły kwalifikowane. Otwarcie już groźbę, że kto nie jedzie na zachód, pojedzie na wschód, ale i ta groźba niewiele już robi wrażenia, bo już prawie każdy luwowianin albo sam był na wschodzie, albo ma kogós z krewnych tam, więc zżył się już z obrazem tych okropności i z myślą tej ewentualności. Żyję z tymi ludźmi wierząc mi w jakiś cud i wyczekującymi zbawienia z piekła udręki, bezprawia, nędzy, czeplającymi się kurczowo tej ziemi, tych grobów, tej grudy, i pełen jestem podziwu dla tego cichego bohaterstwa, które stera nerwy i męli energię. (...)

Dziś pakowałam swoje książki, które niby 10 V mają pojechać do Krakowa. Wiesz, że to bardzo ciężkie i poza tym bardzo smutne zajęcie — prawie tak, jak gdyby zmarłego włożyło się do trumny, a gdy stolarz wieko dobiega, to brzmi to w mrocznej też wozowni dominikańskiej zupełnie tak, jak dobiecie wieka do trumny. Wciąż smutno mi i bardzo smutno. Czuję, że mam żegnać się z czymś bardzo mi bliskim i bardzo mi drogim.

Pozamykano kościoły i klasztory. Zmuszano do wyjazdu polskich księży i zakonników. Na ulicach modliły się tłumy wiernych. W atmosferze psychozy rozgłaszano, że w oknach na ul. Ketrzyńskiego, Grodeckiej, Żulińskiego, Zofii, Zygmuntowskiej i innych pokazała się Matka Boska. Wszyscy chcieli zobaczyć cud, lecz milicja robiła kordony i biła Polaków.

„Z krwawym sercem patrzę na piękność tego szlachetnego miasta, na ten symbol Polski i polskości, który powoli tonie w barbarzyństwie stepu. Konieczność wyjazdu jest oczywista (...) Siedzę na gruzach mego życia i przeżywam tęsknoty umierałego. Nawet nie wiedziałem nigdy, jak ja urosłem w tę ziemię tutaj, jak miasto to wciągnęło się w serce me i ma istotę. Patrzę na nie i pojąć nie wierzę, że nie mogę, że z Polską tu mam się rozstać. Cała ta «likwidacja» wygląda jak sprzątnięcie po umarłym.

NOWA GEOGRAFIA POLITYCZNA

Po 45 latach Polski Ludowej mamy ciekawą geografię polityczną. Przedstawiają ją w tygodniku „SOLIDARNOSC” (nr 6) dr Andrzej Florczyk, dr Tomasz Zukowski i Jarosław Najdowski. Analizując wyniki wyborów do Sejmu i Senatu w poszczególnych województwach, doszli do wniosku, że „Solidarność” zebrała wyższe odsetki głosów tam, gdzie więcej ludzi chodzi do kościoła, gdzie jest niższa przestępczość, gdzie występują silniejsze tradycje opozycyjne i aktywność społecznej i gdzie istniał znaczniejszy opór przed tworzeniem nowych związków zawodowych w latach 1983-84.

„Bardzo silnego poparcia Solidarności udzieliła dawna Galicja, nieco słabszego ziemie zaboru pruskiego (wyłącznie tam, gdzie istniały ugruntowane tradycje opozycyjne), a najsłabszego — część ziem odzyskanych z wyłączeniem lepiej społecznie zintegrowanego, słabiej skole-

tyzowanego Dolnego Śląska. Na ziemiach Kongresówki najsilniej poparli Solidarność mieszkańcy Podlasia i Lubelszczyzny, najsłabiej — Mazowsza (poza Warszawą) oraz ziem kujawskiej i łódzkiej. Odrębne miejsce na mapie zajmują dwa województwa o najsłabszych wpływach Solidarności — pilskie i leszczyńskie. (...)

W religijnej, zintegrowanej społecznie Galicji najsilniej poparli Solidarność ludzie z województw biedniejszych, z tradycjami PSL-owskimi. W Kongresowie rozstrzygał głównie, a nie na równi z innymi cechami, poziom inteligencji społeczności lokalnych. W Wielkopolsce i na Pomorzu Gdańskim oraz na ziemiach odzyskanych Solidarność mogła liczyć bardziej na mieszkańców województw miejskich, z większą liczbą ludzi wykształconych, i z tradycjami niezależnych ruchów pracowniczych (np. wrocławskie, legnickie). Inaczej niż w Kongresowie i Galicji opozycyjni byli tu głównie mieszkańcy miast.

Najczęściej skreślano kandydatów „Solidarności” w trzech grupach województw. Pierwszą tworzą białostockie i chełmskie (mniejszości narodowe), drugą — rolnicze województwa Kujaw i Wielkopolski (region bogatych farmerów i małej koncentracji przemysłu), trzecią stanowią województwa północno-zachodniej części ziem odzyskanych (duży odsetek gruntów należy do PGR).

Socjolog prof. Władysław Adamski ocenia, że wybory nie zlikwidowały konfliktu „oni” — „oni”, lecz nawet go zaostriżyły. W rozmowie z Janiną Paradowską na łamach „ŻYCIA WARSZAWY” (nr 164) twierdzi, że „dzisiejsza ostrość konfliktu nie ustępuje tej z lat 1980-1981”.

BĘDZIE JESZCZE GORZEJ

Znawca naszych dziejów prof. dr Norman Davies uważa, że przed nadejściem nowej fazy historycznej czeka Polaków jeszcze parę konfrontacji. W wywiadzie udzielonym Jerzemu Jastrzębowskiemu z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” (nr 28) mówi:

„Polskie trzęsienia ziemi przychodzą z punktualnością zegarka — dwa razy na pokolenie. Radykalne zmiany nastąpią, bo sytuacja ekonomiczna jest dramatyczna. Wyjątek od tej cyklicznej reguły może nastąpić w przypadku rzeczywistego nastania etapu konstruktywnych rozmów.

W dyskusji zorganizowanej przez redakcję tygodnika „ŻYCIE GOSPODARSTWA” (nr 28) poseł Ryszard Bugaj poinformował, że członkowie zespołu ekonomicznego Komisji Porozumiewawczej w jednej sprawie byli całkowicie zgodni, że jest dramatycznie... Na to prof. Grzegorz W. Kołodko stwierdził:

„Mogę pana spokojnie przeliczyć, że jest jeszcze gorzej niż pan uważa. Sytuacja jest taka, że jeśli w Polsce nawet o 10 proc. będzie rósł dochód narodowy i o 5 proc. będą rosły dostawy towarów na rynek, to i tak będzie gorzej. Dlatego, że nie mamy jeszcze kryzysu produkcji, lecz kryzysu niebilansowania. Problem polega na tym, że gospodarka jest całkowicie zdekompletowana, rozregulowana i występuje wielki kryzys, wyrażający się w nierównowadze na całym obszarze.

Zdaniem sekretarza Komitetu Krakowskiego PZPR, Jerzego Hausnera, rząd M.F. Rakowskiego przyspieszył proces upadku, ponieważ jest niekompetentny i nie umie sterować makroorganizmem gospodarczym. Zamiast przygotowanego w KC PZPR planu konsolidacji, pojawiło się coś innego: totalny chaos decyzyjny.

„Za czasów rządu Z. Messnera procesy decyzyjne były spowolnione, ale jakoś postępowały; w nowym rządzie ujawniło się jednak kilku znaczących ekonomistów i powstał chaos”.

Tak samo prof. Wiktor Herer wyżej ocenia działalność ekipy Z. Messnera niż rząd M.F. Rakowskiego. Pierwszy próbował realizować spójną politykę, a ministrowie drugiego codziennie mówią co innego.

E. L.

Komu nagrodę „Odgłosów”?

Pytanie to pojawia się już szósty rok na łamach „Odgłosów”. Jest to nagroda za upowszechnienie kultury w roku poprzednim. Nagrodę, jaką w 1989 roku otrzymał Andrzej Mikołajczyk — dyrektor Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi, otrzymał za swoje osiągnięcia w upowszechnianiu kultury w 1988 roku. W połowie 1990 roku jury powołane przez dyrektora Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa — Książka — Ruch” przyzna nagrodę za osiągnięcia w 1989 roku. Oto regulamin naszej dorocznej nagrody, którą w 1990 roku wręczymy już po raz szósty.

Regulamin nagrody tygodnika „Odgłosy” za upowszechnienie kultury w roku 1989.

1. Nagrodę tygodnika „Odgłosy” za konkretne osiągnięcia w upowszechnianiu kultury w 1989 roku w wysokości 150 tysięcy złotych przyznaje jury na wniosek Czytelników „Odgłosów” albo stowarzyszeń twórczych, regionalnych, instytucji zajmujących się działalnością kulturalną.

2. Nagroda jest niepodzielna i może być przyznana jednej osobie lub jednemu zespołowi osób.

3. Do nagrody tygodnika „Odgłosy” można kandydować wiele razy, jeśli konkretne osiągnięcie w upowszechnianiu kultury w minionym roku upoważnia do złożenia właściwego wniosku.

4. Udokumentowany wniosek o przyznanie nagrody dotyczący konkretnego osiągnięcia w upowszechnianiu kultury w roku 1989 powinien być zgłoszony w redakcji „Odgłosów” do 31 stycznia 1990 roku.

5. Jury może nie przyznać nagrody, jeśli nadesłane wnioski nie będą odpowiadały wymaganiom niniejszego regulaminu.

6. Fundatorem nagrody tygodnika „Odgłosy” jest Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch”.

7. Jury nagrody tygodnika „Odgłosy” na wniosek redaktora naczelnego „Odgłosów” powołuje dyrektora Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego.

8. W skład jury nagrody tygodnika „Odgłosy” wchodzi:

— przedstawiciel Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego,
— dwóch członków zespołu tygodnika „Odgłosy”,
— przedstawiciel Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi,

— przedstawiciel stowarzyszeń twórczych, regionalnych, zawodowych — literatów, muzyków, plastyków, dziennikarzy i innych.

Skład jury nie może przekraczać 11 osób.

9. Wyniki pracy jury zostaną ogłoszone po 1 maja 1990 roku.

Po pięciu latach funkcjonowania nagrody postanowiliśmy wprowadzić zmianę. Zdaliliśmy sobie sprawę z pewnej słabości naszej nagrody. Często wśród nadsyłanych propozycji były bardzo wartościowe, ale obejmowały okres większy niż miniony rok. Ponieważ nie odpowiadało to założeniom regulaminu takie kandydatury były przez jury odrzucane.

Z drugiej strony spotykaliśmy się z zarzutami, że jury przyznaje nagrodę ludziom wybitnym i wielce dla kultury zasłużonym, ale których obowiązki zawodowe i tak do tego przynuszały. Czy nie jest to zatem jakby przyznawanie nagrody za działalność zawodową, a przecież powinno być za coś więcej niż sumienne wykonywanie obowiązków. Sądzę, że wszystkie dotychczasowe nagrody bronią się przed takim zarzutem. Ale skoro pojawiają się wątpliwości, to trzeba je brać pod uwagę. Tak też uczyniliśmy. Stąd zmiana.

Podstawą dla przyznania nagrody za upowszechnienie kultury w 1989 roku musi być jeden konkretny fakt: książka, która traktuje o upowszechnianiu kultury i coś nowego do tego upowszechnienia wnosi, organizacja wystawy, różne pokazy, filmy i tak dalej. A zatem konkretny fakt, konkretnie udokumentowany. Sądzę, że już w życiu kulturalnym choćby tylko Łodzi, a także i innych ośrodków pojawiły się już takie fakty, które warto wziąć pod uwagę. Nie mogę i nie powinienem niczego sugerować. Ale dla uważnych obserwatorów życia kulturalnego powinno to być dokładnie widoczne... Trzeba te fakty rejestrować i pomyśleć o zgłoszeniu kandydatur ich twórców do nagrody.

Będziemy o warunkach przyznawania nagrody za osiągnięcia w upowszechnianiu kultury w 1989 roku wielokrotnie przypominać. Będziemy pytać Czytelników o radę i prosić o pomoc. Prosimy jednak pamiętać, że w 1990 roku jury przyzna nagrodę tylko za konkretne osiągnięcie z 1989 roku.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów”

— Podejrzewając najgorsze, Jan W. wybrał się do komisariatu w towarzystwie znajomego, Wojciecha F. i jednego z sąsiadów, którzy na wypadek ponownego pobicia mieli być jego świadkami. Na szczęście tym razem obyło się bez użycia pięści i pałek, choć prawdę rzekłszy, niewiele brakowało. Ale i tak sytuacja przedstawiała się niewesoło — kolejny odcinek reportażu JÓZEFA RETMANA pt. „Glugla”.

— Na granicy dwóch województw leży niewielkie miasto, w którym toczy się spór o drogę należącą do nieboszczyka. Nawet sąd pogubił się w tej sprawie chyba już całkowicie — reportaż TOMASZA A. WŁODKOWSKIEGO.

— Celniczka obejrzała faceta od stóp do głów, próbowała z nim flirtować, a ten nie. Nawet propozycję wspólnej kolacji u niej odrzucił. Inny może byłby zachwycony, bo przecież na sam jej widok chłopcom oczy wychodzą. Wsadziła głowę do auta, pogrzała w rozrzuconych spargalach. Nie zauważyła nie swojego — reportaż BOGUMIEA A. MAKOWSKIEGO.

— Przekraczanie granicy bułgarsko-tureckiej to nie tylko przejazd między dwoma krajami, ale i między dwoma systemami. Nie więc dziwnego, że wszyscy spodziewali się najgorszego — reportaż RYSZARDA NAKONIECZNEGO pt. „Podróż na Wschód”.

— Córka Józefa Stalina, Swietłana, w wieku 17 lat miała romans z 39-letnim Żydem, dziennikarzem Aleksiejem Kaplerem. Potem jako studentka wyszła za Grigorija Morozowa, który wprawdzie nosił rosyjskie nazwisko, ale też był Żydem. Jej pierwsze dziecko, jedyny wnuk Stalina, to także pół-Żyd — pisze RYSZARD BADOWSKI.

— Milicjantów na Arbacie jest wyjątkowo wielu, ale w odróżnieniu od swych kolegów z innych ulic, noszących w rękach długie pałki, wyposażeni są tylko w krótkofalówki. Interwenują dyskretnie i stanowczo — korespondencja GRZEGORZA MATUSZAKA z Moskwy.

— Pewien doświadczony mężczyzna twierdzi, że w dziedzinie erotycznej jest najwięcej pozorów. Podobno trudniej uwieść prokuratora, aniżeli kobiety stateczne, uchodzące za wzorowe matki. Usobienia skoromności i niewinności prowadzą nieraz podwójne życie — artykuł MIROSLAWY SARBINSKIEJ pt. „Seks dla wierzących i niewierzących”.

— Na stromej skarpie nadpłucznej w Barkowicach Mokrych odkryto i zbadał najstarszy w tym rejonie wczesnośredniowieczny obiekt obronny strzegący przeprawy przez rzekę — pisze ANDRZEJ MIKOŁAJCZYK.

Dziś wszystko wydaje się proste. Proces budowy nowej rzeczywistości w Polsce po lipcu 1944 roku był procesem odchodzenia od tradycji, zaprzeczania wszystkiemu, co było w przeszłości dobre i złe. Był to proces budowania nowej rzeczywistości w oparciu o obce wzory, które — dziś to wiemy już bez żadnych wątpliwości — okazały się niesprawdzone, szkodliwe, a nawet zbrodnicze. Ale przecież w końcu 1944 roku i w latach następnych nie wszystko było takie jasne i proste, takie oczywiste jak dziś. Popatrzmy zatem, jak było?

1.

15 sierpnia 1944 roku na błoniach w Lublinie odbyło się święto wojskowe — Dzień Żołnierza z mszą polową i defiladą wojskową. Trzeba wiedzieć, że przedwojenne święto żołnierza ustanowiono na 15 sierpnia, Matki Boskiej Zielnej, dzień „cudu nad Wisłą”, przełomu w bitwie warszawskiej w wojnie polsko-radzieckiej 1920 roku.

We Włocławku był taki zwyczaj, że szkoły chodziły na mszę świętą do katedry, co było obowiązkiem wszystkich uczniów. Po lewej stronie nawy głównej ustawiało się Gimnazjum Ziemi Kujawskiej — męskie, za nami inne szkoły, po prawej — dziewczęta z Gimnazjum im. Marii Konopnickiej. Była to jedna z większych przyjemności, gdyż można było spokojnie pooglądać dziewczęta „od Konopnickiej”. Po mszy obowiązkowy deptak na ulicy 3 Maja w święta i różne uroczystości na msze szkoły przychodziły ze sztandarami. Pamiętam, że również wtedy przychodziły do katedry... partyjne partyje sztandarowe. Tak, tak! Sztandary PFR i PPS w kościele. Sam to widziałem.

We Włocławku stacjonowali saperzy i chyba w 1946 roku przejechał do miasta marszałek Michał Rola-Zymierski. Na Placu Wolności ustawiono ołtarz i odbyła się msza polowa, w której uczestniczył marszałek, a oficerowie służyli do mszy.

Po jakimś czasie — dokładnie jakim tego nie pamiętam — sztandary partyjne zatrzymały się przed kościołem. Po mszy na ogół odchodziła się defilada i poczty sztandarowe defilowały przed

oczuciu opinii publicznej naruszenie polskiej suwerenności i domagał się, aby zostali oni przekazani polskiemu sądom. Józef Stalin odparł na to, że działali na zapleczu Armii Czerwonej i sądzienie ich w Moskwie jest zgodne z prawem wojennym. Uznał jednak, że generał NKWD Iwan Sierow działał samowolnie i że wyłączenie będą wnioskami wobec winnych. Nie stało się tak jednak. Gen. Iwan Sierow został wprawdzie odwołany i skierowany do innej pracy, ale już w latach pięćdziesiątych stał na czele Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego ZSRR, a później był zastępcą szefa Sztabu Generalnego Armii Radzieckiej. Władysław Gomułka był natomiast przekonany, że jego interwencja u Józefa Stalina wpłynęła na złagodzenie wyroków radzieckiego sądu. Wyroki te obejmowały od 10 do 15 roku więzienia. W radzieckich więzieniach zginęli: gen. Leopold Okulicki, Jan Stanisław Jankowski i Stanisław Jasiukowicz.

4.

Rozmowy w Moskwie z czerwca 1945 roku doprowadziły do powstania Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, na czele którego stanął Edward Osóbka-Morawski, a wicepremierami zostali Władysław Gomułka i Stanisław Mikołajczyk.

Stanisław Mikołajczyk wyładował w Warszawie 27 czerwca 1945 roku. Powiedział wtedy do witających go warszawiaków: „Traktuję przyjazd do was po prostu: chcę być pierwszy, a wierzę, że pójdą za mną wszyscy stamtąd, bo pragną, bo tęsknią, bo chcą być z wami, chcą razem ręką w rękę budować, chcą zaleczyć rany, by żyć w wolnej, niepodległej, suwerennej Rzeczypospolitej Polskiej”.

3 lipca 1945 roku Stanisław Mikołajczyk przemawiając z balkonu Teatru Wielkiego w Warszawie mówił:

„Zadeklarowaliśmy lojalnie współpracę z Rządem Jedności Narodowej i mamy zamiar tej obietnicy dotrzymać. Mamy również zamiar sprowadzić z zagranicy wielu Polaków. Każdy Polak ma prawo do powrotu, każdy pragnie pracować dla lepszej przyszłości. Pomieścimy wiele stracił wśród naszej inteligencji, wśród naszych uczonych i pisarzy. Mamy za granicą szereg Polaków,

nie będą bili się z Rosjanami o polskie granice wschodnie. Zarówno Franklin Delano Roosevelt, jak i Winston Churchill dawno zgodzili się na linię Curzona rozgraniczającą Polskę od ZSRR. I tego zdania nie mieli zamiaru zmieniać. Wszakże emisariusze Londynu długo jeszcze dudnili natłoczeni, że „tylko patrzeć”, „tylko czekać”, a „powróci na białym koniu sam generał Anders”.

Stanisław Mikołajczyk mógł na własne uszy usłyszeć, co nim i Polakach, którzy bili się u boku Brytyjczyków, myśli sam Winston Churchill. Było to w Moskwie w październiku 1944 roku. Chodziło o porozumienie rządu londyńskiego Stanisława Mikołajczyka z rządem lubelskim Edwarda Osóbki-Morawskiego. Premier brytyjski walczył wtedy pięścią w stół. Miał to być argument przemawiający za jego racjami. Stanisław Mikołajczyk powołał się w odpowiedzi na wojsko walczące u boku zachodnich aliantów. Winston Churchill — pisał Stanisław Cat Mackiewicz — „dostownie ryknął”:

— Zabierz pan sobie to wojsko polskie. Ja go nie potrzebuję!

Było już po walkach o Monte Cassino, po bitwie pod Falaise, gdzie tak się zastały 1 Dywizja Pancerna gen. Stanisława Maczka, po lądowaniu Samodzielnej Brygady Spadochronowej gen. Stanisława Sosabowskiego pod Arnhem. Czysta zalegała nad ruinami powstańczej Warszawy. Jeszcze tylko 2 Korpus PSZ na Zachodzie miał 21 kwietnia 1945 roku zdobyć Bolonię. Ale i bez udziału Polaków w walkach o Bolonię losy drugiej wojny światowej potoczyłyby się niezmieninnie. Niemców czekała bezwzględna kapitulacja. Polacy nie byli już nikomu na Zachodzie potrzebni. Byłoby dobrze, gdyby się wzajemnie dogadali mieliby ich przynajmniej Anglicy „z głowy”. Amerykanie w końcu byli za oceanem i mieli swoje kłopoty.

Po powrocie do Polski Stanisław Mikołajczyk zamieszkał w domu przy al. Szucha w Warszawie, w którym mieszkał Władysław Gomułka. Mieszkałi nawet w jednej klatce schodowej. Ale nie poza tym tych dwóch ludzi nie łączyło. Przeciwnie — wszystko dzieliło. Stanisław Mikołajczyk nie pojmował, że pojawienie się na politycznej mapie Polski roku 1945 siły, która z natury swojej i politycznej logiki, była przeciwna siłom już istniejącym i działającym, stworzył naturalny wir, w obrębie którego znajdują się wszyscy przeciwnicy nowego ustroju. Z tego powodu PSL Stanisława Mikołajczyka stało się automatycznie i mimowolnie siłą praw natury politycznej, centrum, w którym skupili się wszyscy przeciwni „Polsce lubelskiej”.

Na początku lat pięćdziesiątych kursował taki dowcip. Do kościoła przychodzi mężczyzna i nie zdejmując kapelusza. Stojąc obok kobiety zaczyna ją sykać.

— Co jest? — pyta szeptem mężczyzna w kapeluszu.

Kobieta pokazuje palcami kapelusza i szepcze:

— Przebaż! Tu kościół. Tu nie wolno w kapeluszu.

Mężczyzna wzrusza ramionami.

— Ja niewierzący. Ja przeciw rządowi.

Z podobnym zjawiskiem przyciągania wszystkiego, co opozycyjne nęcało się spod jakiegoś było znaku, spotkała się w roku 1981 NSZZ „Solidarność”.

6.

Stanisław Mikołajczyk próbował na Kongresie PSL w styczniu 1946 roku tłumaczyć cele, jakie jemu i PSL służyły.

„Wchodząc do Rządu Jedności Narodowej, powiedzieliśmy sobie, że chodzi nam:

o uciśnięcie do współodpowiedzialności za Rząd wszystkich wielkich i demokratycznych organizacji politycznych, uzyskanie przez to dobrowolnego poparcia najszerszych rzesz społeczeństwa dla ciężkich i odpowiedzialnych prac Rządu nad odbudową Polski;

o rychłą stabilizację stosunków i spokój wewnętrzny; o wprężenie do odbudowy kraju największą możliwie energią narodową, opartą na zaufaniu”.

Cie były szczerze, ale rzeczywistość stworzyła zupełnie odmienne warunki. Do PSL garnęli się wszyscy, którzy byli przeciwni rządowi, choć w tym rządzie był szef PSL — Stanisław Mikołajczyk. Pod skrzydła PSL, czy Stanisław Mikołajczyk tego chciał, czy nie, garnęli się tak ludzie podziemia, jak i wszyscy, którym nie odpowiadał komunizm.

Na Kongresie PSL ze stycznia 1946 roku — Stanisław Mikołajczyk próbował tłumaczyć się:

„Nie chcemy i nie pragniemy rozbudowania kół miejskich PSL. Ale ja nie wiem, czy to jest tylko malkontentstwo, jeżeliśmy mieli oferty (których nie przyjęliśmy) z całego szeregu ośrodków robotniczych, zgłaszających się do nas członków. Otóż powiadamy, że nie na niezadowolonych chcemy budować, ale w takim razie musimy zrobić wszystko, abyśmy przyczynili niezadowolenia usunąć. Może się ktoś pogniewa, ale ja powiem, że nie można równocześnie człowiekowi ograniczać i chleba i wolności”.

Władysław Gomułka podczas wspólnych rozmów sygnalizował, że PSL niezależnie od swoich dążeń, pragnień i zamierzeń, obiektywnie staje się „sztabem do wszystkich wstecznych elementów”. Również w liście wystosowanym przez KC PPR i CKW PPS 18 lutego 1946 roku do NKW PSL ostrzegano:

„Jeżeli więc PSL odrzuciło propozycję wejścia do bloku wyborczego stronnictwa demokratycznych, to — niezależnie od woli PSL i jego chęci — zblokują się w nim wszystkie elementy reakcyjne i faszystowskie. Łączenie z bandami dywersyjnymi”.

Stanisław Mikołajczyk spóźnił się z porozumieniem się z władzami KRN i PKWN, nie zrozumiał ani stanowiska Wielkiej Brytanii, ani ZSRR. W tej rozgrywce okazał się niewłaściwym politykiem. Po powrocie do Polski nie rozumiał istniejącej sytuacji. Ale nawet gdyby ją zrozumiał, nie mógłby zrobić. Gdy stało się jasne, że najmniej się na pozycjach przegranych, ucieki do Anglii.

7.

W połowie 1988 roku opublikowano w Polsce raporty Departamentu Stanu USA, z których jasno wynika, jak wyglądała ucieczka Stanisława Mikołajczyka z Polski. W pamiętnikach dał — można powiedzieć: literacki — opis tej ucieczki, który może i barwny i pełen fantazji, ale fałszywy od początku do końca. Poza jednym że mogło mu grozić aresztowanie i proces. Tyle było później fałszywych procesów, że takiej ewentualności nie można wykluczyć. Wielu działaczy PSL stanęło faktycznie przed sądami i zostało skazanych. Dziś się ich rehabilituje. Niektórych pośmiertnie.

Wielu ludzi intryguje sensacyjne niemal pytanie: czy władze ówczesne wiedziały o zamierzonej ucieczce Stanisława Mikołajczyka, czy nie? Tak jak to w wiele lat później było z Kaziemierzem Mijałem, który uciekł do „prawdziwych komunistów” w Albanii. Wszystko wskazuje na to, że w przypadku Kazimierza Mijała dokładnie wiedzieli o zamierzonej i przygotowanej ucieczce i pozwolono na nią. Ale to już były inne czasy. Jak było wtedy?

Dramat Polskiego Stronnictwa Ludowego polegał na tym, że zjawiało się ono z innego układu politycznego i zamierzało odegrać swoją rolę w nie rozpoznanych i nie zrozumiałych warunkach, stało się przez to siłą skupiającą wszystko, co tym warunkom politycznym było obce i wrogie, a przez to musiało nieuchronnie zejść ze sceny politycznej. Natomiast dramat Polskiej Partii Robotniczej polegał na tym, że choć mieniła się „partią nowego typu”, to w istocie była partią, która musiała zbliżyć się do stałniewskiego wzoru. PPR czyniła próby rozwiązywania społecznych i politycznych problemów w nowy sposób, zgodny z potrzebami narodu, ale skończyła się to „odchYLENIEM PRAWICOWO-NACJONALISTYCZNYM”, procesami i uwięzieniem Władysława Gomułka. Ten ostatni — po wyjściu z więzienia i po powrocie do życia politycznego — był innym człowiekiem, nie miał już tej odwagi, co przedtem, nie miał też wewnętrznych i zewnętrznych warunków na to, aby dokonać niezbędnych zmian, jakie można było dokonać po XX Zjeździe KPZR i przy takim poparciu społecznym. Ale to już inny temat.

Partyjne sztandary w kościele. Powrót Stanisława Mikołajczyka. Czy mogło być inaczej?

Kiedy zabraknie pluralizmu

LUCJUSZ WŁODKOWSKI



trybuna honorową. Pochód formował się pod kościołem, a msza była jego częścią, zrozumiałe więc, że poczty sztandarowe też szły do kościoła, a skoro zapadła decyzja, że mają do kościoła nie wchodzić, zatrzymywały się przed kościołem. Przypadam, że głupio to wyglądało, jak dwa samotne poczty sztandarowe stały na ulicy Toruńskiej przed katedrą. Wkrótce i tego zaniechano.

2.

Program Polski demokratycznej przyciągał do władzy wielu uczciwych ludzi, oddanych Polsce patriotów. Staneli do pracy starzy nauczyciele, inżynierowie, urzędnicy, kolejarze, rzemieślnicy, lekarze. Robotnicy przystąpili do odbudowy i uruchomienia fabryk. Panowała powszechna radość z odzyskanej wolności i zapal do pracy Z odbudową uporałymi się szybko. Dziś jeszcze ludzie dzielą się i z odrobina żalu wspominają romantyzm tamtych czasów.

Wprawdzie w lasach kryli się „ludzie podziemi”, których nazywano bandytami, a którzy siebie nazywali „Wojskiem Polskim”. Ściągali ich wojsko, milicja, KBW. W lesie panował wówczas duży ruch, jedni z lasu wychodzili i ujawniali się, a inni do lasu uciekali. Galimatias i tymczasowość. Ludzkie tragedie i nieporozumienia. Trwała bezpardonna walka. Z podziemiem walczone „środkami” politycznymi i administracyjnymi. Słowem i bronią. Ludzie ginęli po obu stronach.

„Kroniki” — pisał Jean de Beausse — „jakie sprawiają władzy zbrojne bandy, zwane tu „terrorystami”, stanowią ostrzeżenie przed „mnożeniem” sobie wrogów. Działalność podziemia nie ostatecznie bowiem w ciągu ostatnich roku, mimo wzmocnienia sił milicyjnych i stworzenia ochotniczych oddziałów pomocniczych — ORMO. W odpowiedzi na aresztowania rosła ilość napadów, a liczne procesy, którym nadano szeroki rozgłos, nie wpłynęły na zmniejszenie się aktywności przywódców band wszelkiej maści, od pospolitych bandytów poczynając, przechodząc przez Niemców z SS, Ukraińców itp., a na szczytach patriotach kończąc”.

23 września 1944 roku wprowadzono kodeks karny Wojska Polskiego, 30 października 1944 roku ukazał się dekret PKWN o ochronie państwa — prawne podstawy walki z podziemiem. 27 i 28 marca 1945 roku NKWD aresztowało i wywiozło do Moskwy 16 przywódców państwa podziemnego związanego z rządem londyńskim. Wśród aresztowanych i następnie sądzonych w Moskwie byli: Jan Stanisław Jankowski — wicepremier, delegat rządu emigracyjnego na kraj, gen. Leopold Okulicki — były szef sztabu gen. Władysława Andersa, 22 maja 1944 roku zrzucono do Polski szef sztabu KG AK, następcą gen. Tadeusza Bora Komorowskiego na stanowisku komendanta głównego AK, szef nowej organizacji podziemnej NIE, Kazimierz Pużak, działacz oddziału PPS-WRN, przewodniczący Rady Jedności Narodowej.

3.

Od 17 do 21 czerwca 1945 roku toczyły się w Moskwie rozmowy między przedstawicielami KRN i Rządu Tymczasowego z Bolesławem Bierutem, Władysławem Gomułką i Edwardem Osóbka-Morawskim, przedstawicielami krajowych stronnictw demokratycznych, wśród których byli Stanisław Kutrzeba, Adam Krzyżanowski, Henryk Kołodziejski, Zygmunt Żuławski i Władysław Kiernik, który zastępował chorego Wincentego Witosa oraz przedstawicielami emigracji londyńskiej ze Stanisławem Mikołajczykiem, Janem Stańczykiem i Antonim Kołodziejem, który zastąpił chorego Juliana Zakowskiego. W tym czasie trwał proces 16 przedstawicieli londyńskiego podziemia.

Uważa się, że nikt z obradujących w Moskwie przedstawicieli władz stronnictw i ugrupowań politycznych nie wystąpił w obronie sądzonych tam przedstawicieli londyńskiego podziemnego państwa. Tymczasem w obronie aresztowanych i sądzonych w Moskwie 16 polskich działaczy podziemia wystąpił do Józefa Stalina obecny w tym czasie w Moskwie Władysław Gomułka. Argumentował, że sądzić Polaków w Moskwie stanowi w od-

którzy winni wrócić i byłoby zbrodnią, gdybyśmy tego nie chcieli i w tym im nie pomogli. Nie chcę stwarzać złudzeń. Zadania stojące przed nami są trudne. Ale Polska, która pierwszą chwyciła za broń, Polska ma prawo żądać, by została jej podana pomocna ręka. Sądzę, że utworzenie Rządu Jedności Narodowej przyczyni się właśnie ku temu. Pragnę zwrócić się do tych, którzy ukryli się, w lasach i tam jeszcze przebywają, by wyszli z nich do pracy dla Polski silnej i demokratycznej”.

Józef Winiewicz w książce „Co pamiętam z długiej drogi życia” zauważa że „pójść wtedy za Mikołajczykiem wcale nie znaczyło podzielać jego program i zamiary”.

Stanisław Mikołajczyk urodził się w Westfalii, ale rodzina jego przeniosła się do Wielkopolski, gdzie osiadła na stałe. Tu wszedł do Stronnictwa Ludowego, którego został wiceprezsem. Józef Ręczkowski — również działacz ludowy z Wielkopolski — nazwał go „politycznym niedołęgą”. W latach trzydziestych Stanisław Mikołajczyk kierował strajkami chłopskimi, ale trudno byłoby powiedzieć, że robił to dobrze.

Gdy w 1936 roku Stanisława Mikołajczyka wybrano na prezesa Kolekcjonistów w Wielkopolsce, był senator Tadeusz Szuldrzyński miał wówczas powiedzieć do Józefa Winiewicza:

— To człowiek rudy, więc fałszywy. Niech pan redaktor nie angażuje się w jego popieranie!

Po klęsce wrześniowej 1939 roku Stanisław Mikołajczyk pojawił się w Warszawie. Stanisław Cat Mackiewicz, który mało kiedy krył w piśmie swoje sądy o innych ludziach, zanotował pisząc „Zielone oczy”:

„W Paryżu pojawił się jeden z wiceprezesa Stronnictwa Ludowego, p. Stanisław Mikołajczyk. Był to facet ponury i podejrzliwy, o małych świątecznych oczkach, wyglądało, że ciągle dbał, aby ktoś mu nie ubliżył. Poza tym wyczuwało się w nim człowieka wyjątkowo ambitnego, żadnego władzy i o tyle twardszego niż nasz wódz na cywilnych i wojskowych frontach, generał Sikorski”.

Wedle opinii Stanisława Cate Mackiewicza wśród emigracji mało było ludzi, którzy by nie nienawidzili Stanisława Mikołajczyka. Gdy przyjechał do Polski, stał się dla jednych mężem opatrznościowym, dla innych celem wszelkiego rodzaju politycznych ataków.

„Tak jest” — mówił w referacie wygłoszonym na Kongresie Polskiego Stronnictwa Ludowego 19 stycznia 1946 roku. — „Wolamy o wypełnienie naszego zadania w Prezydium KRN przez przydzielenie nam stanowiska pierwszego wiceprezesa, do naszego zadania na podstawie porozumienia słusznie nam się to należy”.

Tak jest, wolaliśmy i wolamy o powiększenie reprezentacji wsi w KRN. Nikt nam nie wytłumaczy, że 51 reprezentantów na około 444 członków KRN jest choćby w najmniejszym przybliżeniu tym, co reprezentujemy w terenie.

Mamy prawo żądać swoich przedstawicieli w innych organizacjach gospodarczych, samopomocowych, spółdzielczych, również na podstawie tego porozumienia, mamy prawo żądać, abyśmy jak najprędzej zostali ono w czyn wprowadzone.

Rozumiemy także w dzisiejszych czasach potrzebę ostrożnego wyrażania się i staramy się być nateżycie ostrożni w swoich wypowiedziach, ale nikt nam nie wytłumaczy, że wszystko jest w porządku jeżeli dotychczas tak duże stronnictwo, jak PSL, nie uzyskało, mimo zabiegów, chociażby jednej drukarni ze strony państwa, mimo tego, że państwo jest ich dysponentem. Nie możemy powiedzieć, że to jest uciśnienie swobody prasy i możliwości rozwoju czytelnictwa chłopskiego.

Nie zawsze również najważniejsze zagadnienia były uzgadniane. Już nie mówię o przegłosowywaniu, ale bardzo często, jak po ostatnich wypadkach, Klub nasz musiał się skarżyć na zaskakiwanie w rzeczach tak wielkiej wagi, wymagających zasadniczego przygotowania, jak zagadnienie nacjonalizacji przemysłu”.

Józef Winiewicz uważa, że w momencie przełomowym, kiedy decydowały się losy Polski, na czele władz w Londynie stanął człowiek, „który, nawet w części nie dorósł do zadań, z jakimi przyszło mu się zmierzyć”. Stanisław Mikołajczyk nie rozumiał czasu, w którym przyszło mu żyć i działać. Nie rozumiał, że zmienić nie było warunki polityczne i społeczne na tyle, że nie można było budować przyszłości Polski w oparciu o dotychczasową myśl polityczną, potrzeba było śmiałych i nowatorskich rozwiązań. Nie stać go było na taką myśl, zawierzył więc Anglikom.

„Mikołajczyk otrzymał od Anglików radę, aby rozstał się z rządem i środowiskiem londyńskim, w zamian za co Anglicy obiecali mu udział w wpływy w rządzie krajowym wtedy, kiedy się taki rząd sformuje. Mikołajczyk, tak jak jego poprzednik gen. Sikorski, wierzył, że Anglicy prowadzą z Rosją jakąś cieniową grę, której celem jest obrona polskich interesów. Aż dziwne, że tak rzadko przychodziło im do głowy podejrzenie, że angielska gra w stosunku do Rosjan ma na celu wygranę interesów wyjątkowo angielskich” — napisał w „Zielonych oczach” Stanisław Cat Mackiewicz.

5.

Emigracyjni politycy w Londynie, łącznie ze Stanisławem Mikołajczykiem, dobrze wiedzieli, że Anglicy, ani też Amerykanie,

rok nie został anulowany — ani w sprawie Siniawskiego, ani Daniela. Ani prokurator generalny, ani Sąd Najwyższy nie wnieśli protestu. Wszystko pozostało tak, jak było. Uważam, że wobec nich nie dopuszczono się represji, ani bezprawia — był przecież sąd.

— Istnieje teraz taka opinia, że w KGB w okresie zastój rozwinął się taki system — państwo w państwie — który zajmuje się częstokroć nie tymi sprawami, którymi powinien się zajmować.

— Widzicie, KGB od momentu swego powstania zajmował się nie tylko swoimi bezpośrednimi zadaniami, nawet w okresie, gdy na czele stał Feliks Dzierżyński. Przykładowo — bezdomni. Co zaś dotyczy tego, co było za Nikolaja Jeżowa, za Ławrientija Berii, a pozostałości — także za moich czasów, to w wielu wypadkach KGB zajmował się rzeczywiście sprawami nie należącymi do jego obowiązków. Niejednokrotnie wypowiadałem się o tym i w KC, i przed Leonidem Breżniewem:

— „Towarzysze drodzy, mając tak rozgałęzioną sieć organizacji partyjnych i żądając od nas informacji o tym, jak kto reaguje na decyzje Plenum KC — to co najmniej niesolidnie, nieładnie. Istnieje aparat KC, aparat partyjny, a czekając musi zbierać informacje?

A po co, na przykład, potrzebne są trzy gmachy na placu Feliksa Dzierżyńskiego? Za moich czasów były dwa. Oznacza to, że KGB nie zmniejsza się, a rozrasta? Już wówczas myślałem, że w wielu obwodach centralnych nie ma potrzeby, aby istniały tam obwodowe KGB. Nie mają one tam nic do roboty.

— W przyszłych poprawkach do Konstytucji ZSRR zapisano, że Zjazd Deputowanych Ludowych będzie zatwierdzał przewodniczącego Rady Ministrów, głównego arbitra państwowego... A dlaczego nie ma na tej liście szefa KGB?

— Nie można. Nie można stawiać go ponad wszystkimi. Jeśli będzie on zatwierdzony przez Zjazd, otrzymujemy sytuację, w której znowu dajemy mu szczególną rolę i szczególną pozycję w państwie. Po-

wiem wam, że im niżej będzie się go sytuować — tym lepiej. Nie należy także wprowadzać go do Biura Politycznego KC KPZR. Dlatego, że wówczas trafia w sferę pozostającą poza krytyką. Całe nieszczęście polega na tym, że jeśli trafi tam człowiek niesumienny, nieuczciwy, nie można go już sprawdzić. Kto sprawdzi moje sprawy agenturalne czy inne? Trzeba tworzyć jeszcze jeden organ nade mną?

Organy KGB powinny podlegać społeczeństwu i przed nim być odpowiedzialne — tak jak wszystkie inne. Mam nadzieję, że dożyjemy do tego czasu, kiedy nasza prasa będzie mogła o nich pisać, krytykować je.

nowa. Dobierał sobie posłannych ludzi, którzy umieli schlebzać, zaspokajać wszystkie jego potrzeby. W 1987 roku odesłał mnie na Ukrainę na stanowisko trzeciego pierwszego zastępcy przewodniczącego Rady Ministrów Ukrainy. Szelepińska Leonida Breżniew przesunął z KC do związków zawodowych, aby mu się nie płatał pod nogami.

— O tego rodzaju sprawach decydowano na posiedzeniach Biura Politycznego?

— Tak, na posiedzeniach Biura Politycznego KC KPZR. Przy czym „zdejmowanych” zazwyczaj na te posiedzenia nie zapraszano. Ja, przykładowo, składałem sprawozdanie o działalności KGB w związku z od-

wołaniem chłopca, i o wszystkich innych awanturach. Wszystko to zostało natychmiast przekazane Szelepkowowi. Oczywiście, nie podobało mu się to.

Co zaś dotyczy się Jurija Andropowa — to on także przyszedł z Komsomolu. Był sekretarzem KC Komsomolu w Republice Karelsko-Fińskiej. Republika była wówczas związkowa, potem zmienili ją na autonomiczną, zabrali „Fińska” i zostali Karelska. Po „sprawie leningradzkiej” — nawiasem mówiąc, kiedy aresztowali wszystkich leningradczyków (w tym także tych, którzy pracowali w Karelii) — Jurij Andropow przyszedł na stanowisko drugiego sekretarza. Lenin-

stał Cwignu, a nie poszedł osobliście. Cwignu przecież nie był członkiem Biura. Owszem Jurij Andropow był człowiekiem kulturalnym i tak dalej. Ale jeśli jest przewodniczącym KGB, to powinien być bardziej zdecydowany i odważny. Cóż, kiedy został sekretarzem generalnym, proklamował dobrą politykę — tutaj wszystko w porządku. Ale przez piętnaście lat tolerował, jak inni. Cóż, że nie chciał utracić miejsca w Biurze Politycznym? Mówię teraz i mówię wówczas: przewodniczący KGB nie powinien być członkiem Biura. Może to w jakimś stopniu powstrzymało Jurija Andropowa? Kiedy przewodniczącym KGB jest

ków i pozostających na uboczu obserwatorów...

Zarówno za Nikity Chruszczowa, jak i za Leonida Breżniewa „numerem drugim” byli tacy, którzy albo nigdy nie mogli zostać pierwszymi, albo ich szybko zmieniano nie pozwalając, by umocnili swoje pozycje. I dlatego, kiedy umarł Leonid Breżniew nie było właściwie nikogo, kto mógłby go zamienić. Dzięki Bogu, znalazł się Jurij Andropow. Ale Andropow był w tak ciężkim stanie, że nie wolno było mu podejmować się takiej pracy. Przecież Amerykanie wymagają lekarskiego zaświadczenia, kiedy proponują kogoś na fotel prezydencki. A u nas, niestety, rzadzić krajem może człowiek zupełnie chory. W takim stanie pół czasu spędzał w szpitalu. I kiedy Jurij Andropow zmarł — jedynym kandydatem okazał się Konstantin Czernienko. Jest to w ośle przypadkowy człowiek. Mam fotografię, na której wspólnie z Anastasem Mikojanem wręczamy orderę czcicielom, a on nam je podaje. Podaje, będąc szefem kancelarii Prezydium Rady Najwyższej. Zbyt szybko — w ciągu dziesięciu lat — wyrósł od tego do stanowiska sekretarza generalnego. To już nie paradoks, to po prostu... straszne.

— Kiedy fotografie Konstantina Czernienki — sekretarza generalnego — pojawiły się w gazetach, przypomniały one wszystkim Leonida Breżniewa. Było i smutno, i śmiesznie.

— I śmiechł się, ale Biuro Polityczne i KC KPZR tak postanowiły. Czyż tak można?

— Co robić?

— Świadomość stalnowska długo jeszcze będzie na nas oddziaływać. Zlikwidować ją może tylko podniesienie kultury społeczeństwa. A jej poziom jest jeszcze bardzo niski. Przecież na razie i demokrację, i jawność wprowadzamy poprzez rzki. Dopóty naciska Michaił Gorbaczow, naciska KC, gazety — trwa proces zmian społeczeństwa.

Rozmawiali:
S. SOKOŁOW
K. SWIETLICKIJ
(„Ogoniok” nr 24 z 89 r.)

Zwierzchnia byłego przewodniczącego KGB

I kiedy wszystkie działania KGB będą prowadzone za zgodą prokuratora. Także w Radzie Najwyższej powinna być komisja do spraw bezpieczeństwa i obrony — tak jak w innych krajach. Nie można pozostawiać naszych organów poza kontrolą. Oczywiście, partia kontroluje, ale społeczeństwo także powinno je kontrolować. Uwierzyć, wiem, co to takiego.

— Niestety, przez długie lata naszemu społeczeństwu nie w głowie była kontrola: zbyt krótki był okres, na jaki nas „rozmiotli” w pięćdziesiątym stuleciu.

— Wszystko zaczęło się samo przez się, kiedy przyszedł Leonid Breżniew...

— On rozpoczął przecież od reform.

— Reformy tylko ogłoszone, a w istocie — nawet ich nie rozpoczęto. Obiecano przemianę. Początkowo pozornie wszystko przebiegało dobrze — przecież zdziwili Nikitę Chruszczowa i mianowali Leonida Breżniewa po to, aby w kraju rządziło kolektywne kierownictwo. Na pierwszych posiedzeniach KC KPZR trwała otwarta dyskusja. Były wystąpienia bez kartek, były ciekawe myśli. A potem było coraz gorzej, gorzej...

Leonid Breżniew usunął od władzy wszystkich młodych — Szelepińskiego, Polanowskiego, Wor-

nowa Swietłanę Alilujewę powrotu do kraju. Na koniec posiedzenia poproszono mnie bym pozostał — jest jeszcze jedna sprawa. Kiedy wszystko skończyło się, Breżniew powiedział:

— „Ja, Podgornij i Kosygin, przyłączyli się do nas Susłow, proponujemy, aby zwolnić Szelepińskiego w związku z tym, że przepracował już długi okres (sześc lat) i mianować go pierwszym zastępcą przewodniczącego Rady Ministrów Ukrainy. A w celu zbliżenia KC i KGB, rekomendujemy Andropowa”.

Wybuchnąłem: — Jak to zbliżyć? A ja to co, byłem daleko! Jestem członkiem KC, ja... towarzysze...

— A na cały czas apelowałem do członków Biura: — „Nie ma potrzeby dyskusji, towarzysze, nie ma potrzeby”. Dyskusji nie było.

A Szelepiński wysłał do związków zawodowych daleko, bo my dwaj najbardziej mu przeszkadzaliśmy. Niejednokrotnie mówiłem mu, że byliśmy kategorycznie przeciwni mianowaniu Szelepkowa ministrem. Opowiadałem mu, kto to jest Szelepkow. Po upływie pół roku poszedłem do niego i poinformowałem go o zachowaniu Szelepkowa tutaj, w Moskwie i o zachowaniu jego syna, wówczas jeszcze siedemnasto-

gradczy, którzy zostali aresztowani a dopiero powrócili z więzień, mieli bardzo wiele pretensji do Jurija Andropowa z powodu jego udziału w aresztowaniach w Republice Karelsko-Fińskiej. Wszystko to jest gdzieś zarejestrowane w archiwach. A oto drugie pytanie: przez piętnaście lat był obok Leonida Breżniewa i obserwował, co dzieje się w Uzbekistanie... Wiem, i mówię to z znajomością rzeczy: przewodniczący KGB nie mógł nie wiedzieć, co dzieje się w Uzbekistanie. O Odywie, o Krasnodarze, o Rostowie... wszystkie te sprawy moskiewskie... a najważniejsze — to, co dzieło się w MSW — to na sumieniu Jurija Andropowa. Jeśli przewodniczący KGB nie ośmiela się przysięść do Generalnego lub na posiedzenie Biura Politycznego, aby poinformować o powstającej sytuacji, to po co taki przewodniczący KGB?

— Był może, informował na posiedzeniu Biura Politycznego?

— No, jeśliby informował, to byłoby wiadomo. A tak — nigdzie o tym nie wiadomo. Obecnie kursują plotki, rozmowy o tym, że posłał Cwignu, aby ten poinformował Michaiła Susłowa o przegadach Gali, córki Leonida Breżniewa i o tym Cyganie, i o całej historii wokół jego rodziny. Dlaczego wy-

członkiem Biura — wtedy zaczęła się ta właśnie rewelacja i ostrożność.

— Chociaż, wydawałoby się, że zgodnie z zasadą kolegiatności, w Biurze Politycznym powinno być wszystko na odwrot.

— Tak, ale trzeba przecież zdobyć się na odwagę i powiedzieć w czasie posiedzenia: dysponuję danymi, że Uzbekistanem zawładnęła mafia. Nie wierzę, aby przewodniczący KGB nie wiedział, co dzieje się w MSW. Oznacza to, że nie chciał psuć stosunków z Leonidem Breżniewem, wiedząc o jego przyjacielskich powiązaniach ze Szelepkowem. Tak nie można. Dlatego mam zupełnie odmienne opinie od tej, jaka istnieje na temat Jurija Andropowa. Jurij Andropow powinien był odpowiadać za to, co się dzieje.

— Czy można było uniknąć kresu zastój?

— Oczywiście, można było. Trzeba było po prostu rozwiązywać problemy. Całe nasze nieszczęście polega na tym, że nie realizowaliśmy tego, co wynika ze Statutu, nie przestrzegaliśmy tych obowiązków, którymi Statut obarcza Komitet Centralny i Biuro Polityczne. Przecież zarówno KC jak i Biuro okazywały się w tych wypadkach tylko w roli świad-

Rząd ZSRR wyraził zainteresowanie propozycją zawarcia protokołów dodatkowych (3)

I w nocy podpisano pakt o nieagresji

19 sierpnia 1939 roku, a ściślej mówiąc, w nocy z 19 na 20 sierpnia, w Berlinie zostało podpisane radziecko-niemieckie porozumienie kredytowe. Przewidywało ono odchylenie przez Niemcy Związku Radzieckiego kredytu w wysokości 200 mln marek niemieckich na okres siedmiu lat z przeznaczeniem na zakup towarów niemieckich w ciągu dwóch lat od dnia podpisania porozumienia. Informacja o tym została zamieszczona w prasie.

20 sierpnia 1939 r. Adolf Hitler wystosował telegram do Józefa Stalina, w którym stwierdzał, iż wita z zadowoleniem podpisanie nowego porozumienia handlowego „jako pierwszy krok do przekształcenia stosunków niemiecko-radzieckich”. W telegramie informowano o zaakceptowaniu radzieckiego projektu układu o nieagresji, ale podkreślono konieczność jak najszybszego omówienia związanych z tym zagadnień.

„Istota postulowanego przez rząd radziecki protokołu uzupełniającego — pisał Adolf Hitler — może być uzgodniona, w moim przekonaniu, w najkrótszym czasie, jeśli odpowiedzialny niemiecki działacz państwowy będzie mógł osobiście przeprowadzić w Moskwie rozmowy na ten temat. W przeciwnym razie rząd niemiecki nie wyobraża sobie, w jaki sposób protokół uzupełniający może być omówiony i uzgodniony w krótkim czasie”.

Dalej w telegramie informowano, że napięcie w stosunkach między Niemcami i Polską stało się „nie do wytrzymania” i „każdego dnia może rozpętać się kryzys”. Adolf Hitler zwracał się z propozycją przyjęcia jego ministra do spraw zagranicznych we wtorek 22. sierpnia 1939 r., lub najdalej w środę, 23 sierpnia. Minister — wyjaśniał — ma „najszersze pełnomocnictwa generalne dla przygotowania i podpisania paktu o nieagresji, jak też protokołu”.

Rano, 21 sierpnia 1939 r., rozpoczęło się ostatnie posiedzenie radzieckiej, brytyjskiej i francuskiej delegacji wojskowych w Moskwie, które zakończyło się bez rezultatów.

Otrzymałszy po południu posłanie Adolfa Hitlera rząd radziecki poinformował wieczorem, iż zgadza się na przyjazd do Moskwy Joachi-

ma von Ribbentropa 23 sierpnia. Dzień wcześniej, 22 sierpnia w prasie radzieckiej opublikowano informację o rychłym przyjeździe do Moskwy Joachima von Ribbentropa na rozmowy w sprawie zawarcia paktu o nieagresji.

Przedstawicielom zagranicznych agencji prasowych w Moskwie przekazano informację, iż przybycie Joachima von Ribbentropa do Moskwy w celu zawarcia układu o nieagresji nie jest nie do pogodzenia z kontynuacją rozmów między ZSRR, W. Brytanią i Francją na temat zorganizowania odparcia agresji. Pakt brytyjsko-francusko-radziecki, uzupełniony porozumieniem wojskowym, miałby na celu powstrzymanie Niemiec, gdyby te kontynuowały działania agresywne. Zawarcie paktu o nieagresji między ZSRR i Niemcami osłabiałoby napięcie istniejące między dwoma krajami. Za pośrednictwem niemieckiej agencji telegraficznej komunikat ten dotarł również do Joachima von Ribbentropa.

Joachim von Ribbentrop przybył do Moskwy 23 sierpnia 1939 r., i tej samej nocy został podpisany układ radziecko-niemiecki o nieagresji. Zapisy rozmów nad wypracowaniem tekstów układu i protokołu uzupełniającego do niego nie były, jak się wydaje, prowadzone. Nie ma ich w radzieckich ani w niemieckich archiwach. Radca ambasady niemieckiej w Moskwie H. Hielger, obecny przy rozmowach, jako tłumacz, podkreśla w pamiętnikach, iż Joachim von Ribbentrop nie przywiózł żadnych nowych propozycji. Jego wypowiedzi ograniczały się do tego, co zgodnie ze wskazówkami Berlina Friedrich von Schulenburg mówi Władysławowi Molotowowi.

Radziecko-niemiecki układ o nieagresji został opublikowany 24 sierpnia 1939 w „PRAWDZIE”, „IZWIESTIACH” i innych gazetach radzieckich. Przewidywał on, iż ZSRR i Niemcy „zobowiązują się powstrzymać się przed wszelką przemocą, przed wszelkimi działaniami agresywnymi oraz przed wszelką napaścią w stosunkach wzajemnych zarówno oddzielnie, jak i wspólnie z innymi państwami” (art. I). Gdyby jedna z umawiających się stron stała się obiektem działań wojennych ze strony trzeciego państwa, to „druga umawiająca się strona nie będzie w żadnej formie popierać tego państwa” (art. II). Przewidywał „wzajemne informowanie się o problemach dotyczących ich wspólnych intere-

sów” (art. II). ZSRR i Niemcy zobowiązywały się nie uczestniczyć „w jakimkolwiek ugrupowaniu państwa, które bezpośrednio byłoby wymierzone przeciwko drugiej stronie” (art. IV). Spory i konflikty miały być rozwiązywane wyłącznie drogą pokojową (art. V). Układ został zawarty na okres 10 lat.

W archiwach Ministerstwa Spraw Zagranicznych RFN przechowywana jest taśma filmowa, na której obok innych dokumentów są też niemiecki i rosyjski teksty radziecko-niemieckiego tajnego protokołu uzupełniającego z 23 sierpnia 1939 roku.

W RFN teksty te uważa się za wiarygodne. Były one wielokrotnie drukowane w wydawnictwach na Zachodzie książkach i zbiorach dokumentów. Teksty te zostały opublikowane 20 grudnia 1988 roku przez organ KC KP Litwy, dziennik „TIESA”. Oryginał takiego protokołu nie odnaleziono ani w radzieckich, ani w niemieckich archiwach. Kierownictwo radzieckie uważa, iż nie można uznać za adekwatne kopii protokołu, które są puszczane w obiegu na Zachodzie.

Nie dysponując bezspornymi danymi, które potwierdzałyby lub negowały wiarygodność tekstu protokołu uzupełniającego, przytoczonego przez dziennik „TIESA”. Z całokształtu dostępnych źródeł wynika, iż przy podpisywaniu układu Niemcy, wyrażając gotowość liczenia się z interesami bezpieczeństwa ZSRR, wzięły na siebie jednostronnie pewne dodatkowe zobowiązania, jakie proponowały w trakcie przedstawionych rozmów.

Ich istota sprowadza się do tego, iż w przypadku wojny, która mogłaby wybuchnąć w związku z konfliktem niemiecko-polskim, wojska niemieckie nie wejdą na Łotwę, do Estonii, Finlandii i Besarabii, zaś w Polsce nie przekroczą linii rzek Narwy, Wisły i Sanu. Takie zobowiązania miały dla ZSRR w ówczesnej sytuacji pryncypalnie ważne znaczenie. Właśnie one decydowały w dużym stopniu o znaczeniu dla Związku Radzieckiego układu o nieagresji z Niemcami.

W ten sposób, ponieważ nie udało się porozumieć z W. Brytanią i Francją w sprawie zawarcia układu o pomocy wzajemnej w wypadku agresji, ZSRR podpisał układ o nieagresji z Niemcami, wymuszając na nich zobowiązanie liczenia się z interesami bezpieczeństwa ZSRR w rejonach przylegających do zachodnich granic Związku Radzieckiego. Wokół radziecko-niemieckiego układu o nieagresji nie cichną dyskusje i daje się mu najróżniejsze oceny. Do ostatecznych wniosków można dojść jedynie uwzględniając ówczesną niezwykle napiętą sytuację międzynarodową i dysponując niezbędnymi dokumentami.

WILNIS SIPOLS

Tekst „Tajnego protokołu” z 23 sierpnia 1939 r.

Do toczącego się sporu o „Tajny protokół” z 23 sierpnia 1939 roku włączyła się litewska gazeta „Gimtasis kraštas”, która opublikowała fascymle niemieckiej i rosyjskiej wersji tego dokumentu. Kserograficzna odbitka tej gazety przesłał nam Longin Surgut, za co serdecznie dziękujemy. Oto tekst tego protokołu w polskim przekładzie:

„Z okazji podpisania paktu nieagresji między Rzeszą Niemiecką a ZSRR podpisani pełnomocnicy obu stron przedyskutowali w ścisłe poufnych rozmowach sprawę rozgraniczenia ich wzajemnych stref interesów w Europie wschodniej. Rozmowy te doprowadziły do następujących wniosków:

1. W wypadku przemian terytorialnych i politycznych na obszarach należących do krajów bałtyckich (Finlandia, Łotwa i Litwa), północna granica Litwy będzie stanowiła granicę strefy wpływów Niemiec i ZSRR. W tym związku interesy Litwy na obszarze Wilna są uznawane przez obie strony.

2. W razie terytorialnych i politycznych zmian na obszarach należących do państwa polskiego, strefy interesów Niemiec i ZSRR będą rozgraniczone w przybliżeniu wzdłuż linii rzek Narwy, Wisły i Sanu.

Zagadnienie, czy interesy obu stron czynią pożądanym utrzymanie niepodległego państwa polskiego, strefy interesów Niemiec i ZSRR stwa, może być ostatecznie rozstrzygnięte dopiero w toku dalszych wydarzeń politycznych.

W każdym razie oba rządy rozwiążą tę sprawę w drodze przyjaznego porozumienia.

3. Jeśli chodzi o Europie południowo-wschodnią, to strona sowiecka podkreśla swoje zainteresowanie Besarabią. Strona niemiecka oświadcza, że jest całkowicie niezainteresowana tymi obszarami.

4. Ten protokół będzie przez obie strony traktowany jako ściśle tajny”.

Ponad pół tysiąca posłów i gości, którzy 5 lipca 1989 przybyli do gmachu Sejmu na ulicę Wiejską, to ludzie walczący z sobą. Gdyby byli chłopcami najprawdopodobniej pobili się i tyle. Jako dorośli postanowili wzajemnie się tolerować.

Najwcześniej wypełnili swoje ławy posłowie z Klubu PZPR. Mieli do obsadzenia najwięcej, bo 173 miejsca. Dyscyplina zawsze była siłą komunistów, lecz tym razem zwyciężyło poczucie odpowiedzialności za dalszy rozwój wydarzeń. A może było to poczucie niepewności? Siedząc w swych fotelach uważnie i bacznie obserwowali resztę sali.

Na drugim skrzydle jednym blokiem usiadło 27 posłów SD. W starym układzie sejmowym ich miejsca były właśnie tutaj, teraz obserwatorzy odczytują te fotele jako tradycyjnie przynależne prawicy. Czy SD jest prawicą? Jeśli nie, to w których fotelach powinni się usytuować? W ostatnim czasie układają się z PZPR, trzymając z ZSL, romansując z „Solidarnością”, nawiązując kontakty z Kościołem. To wszystko wyraża wielkiego niepokój o swą własną przyszłość. Jeszcze kilka miesięcy na XIV Kongresie rzucali hasła o przestoczeniu się z małej w wielką partię. Dzisiaj lawirują w różne strony, by na kapitale najsilniejszego podbić nieco w górę swoje własne akcje.

Najbardziej radosni są posłowie „Solidarności”. Jest ich 161. Emocjonują się, ale jest to rodzaj wzruszeń związanych z pierwszym wielkim balem, pierwszym w życiu pocałunkiem, ślubem itd. Wewnętrzne rozdźwięki nie pozwalają usiedzieć w fotelach. To zajmują miejsca, to wstają, by z tym i owym pogawędzić, wymienić kilka zdań, pośmiać się. Tak będzie aż do momentu rozpoczęcia się inauguracji. Ten uroczysty moment wprowadził do ich serc trzęsienie przed pierwszym publicznym wystąpieniem w Sejmie ograniczającym się przecież do jednego krótkiego: „Ślubuję”.

W obozie ZSL 176 posłów daleko od atmosfery święta. Dla nich początek obrad Sejmu to pierwsza bitwa. Mikołaj Kozakiewicz, którego zamierzają wysunąć na marszałka Sejmu, jest zakłopotany. Poprzedniego dnia do władz Klubu ZSL wróciła się „Solidarność” z sugestią, że gdyby Mikołaj Kozakiewicz nie przeszedł w wyborach, to wówczas należałoby złożyć innego członka ZSL — Władysława Zabińskiego, którego posłowie „Solidarności” lubią i popierają. Jest to pierwszy publicznie ujawniony przewrót, którego — jak się później okazało — jest na tej sali więcej. W szeregach innych klubów poselskich są ludzie „Solidarności”. Polityka i politycy nie bywają cnotliwi.

Jako ostatni z posłów zjawia się na sali Jacek Kuroń. Nadaremnie kręci się po głównych obszarach przeznaczonych dla Obywatelskiego Komitetu Parlamentarnego. Wszystkie fotele są zajęte.

— Nie ma dla mnie miejsca? — dziwi się poseł.

Wreszcie ktoś mu podpowiada, że ostatnie dwa rzędy w jednym z sektorów PZPR należą także do OKP. Może tam? Jest to miejsce na samym skraju.

Lech Wałęsa i Wojciech Jaruzelski wchodzą do sali posiedzeń Sejmu niemal równocześnie. Zazwyczaj to Wojciech Jaruzelski wygląda na bardziej śpiącego, Lech Wałęsa to publicznie luzak. Tym razem jest odwrotnie. Wojciech Jaruzelski z galanterią i nową grą zasłada w honorowej ławie, Lech Wałęsa jest zdenerwowany. Skulił się pod naporem odpowiedzialności, jaka go w tym momencie z pewnością przygniotała. To przecież i od niego w decydującej

mierze zależy czy ten Sejm przejdzie do historii jako Wielki.

— Jest to dla mnie ogromne przeżycie. Chwilę tę mogę porównać z jeszcze jednym wydarzeniem — sierpniem 1980 roku. Obydwa sytuacje były dla mnie jak do tej pory najważniejsze i najbardziej emocjonujące. Nawet nie spodziewałem się, że zrobi to na mnie takie wrażenie — powiedział Lech Wałęsa dziennikarzom po zakończeniu obrad.

Marszałek senior Zbigniew Rudnicki (SD), który prowadził pierwszą część, wywiał się z tego zadania znakomicie. Suchy i oszczędny w słowach, nadał pierwszej godzinie wrażenie powagi i godności.

Przystąpiono do ślubowania. Posłowie wzajemnie oglądali się, uczyli się siebie. Niektóre z nazwisk powtarzały się. Mamy więc wśród posłów trzech Błaszczyków (SD, PZPR, OKP), Czerwińskich (SD, PZPR), Janickich (ZSL, PZPR, PAX), Szymańskich (ZSL, OKP, OKP),

W Sejmie i Senacie; — to, czego nie mogliśmy zobaczyć na ekranie telewizora.

Pierwsze starcia i kompromisy

MIROSLAW KULIŚ

dwóch Bieleckich, Kowalczyków, Lechów, Nowakowskich, Osińskich i Królów.

Andrzej Łapicki nie wypadł dobrze w roli ślubującego posła. Było to coś jakby w polowie między szacunkiem dla tego aktu, a w polowie jakby wstydem. Ten wielki aktor mógłby na pewno zagrać ten moment na sto sposobów — wybrał najgorszy z możliwych. Ironiczny był Adam Michnik, ale raczej w stosunku do siebie. Bronisław Gerek był w tym momencie poważny i zdecydowany. Jego „ślubuję” zabrzmiało krótko i dobitnie. Sensacyjnie wypadł Jacek Kuroń. Głośny rumor, z jakim się podnosił, sprawił, że siedzący poniżej niego posłowie PZPR równie hałaśliwie się odwrócili w jego kierunku. Dopiero teraz spostrzeżono, że siedzi w sektorze PZPR. Chwila przerwy, dla zacerpienia oddechu i donośnego gromkie słowa poselskiej przysięgi nadało niepowtarzalnego uroku tej najciekawszej inauguracji polskich sejmów od 1948 roku.

Kandydata na marszałka rekomenduje przewodniczący klubu ZSL — Aleksander Bentkowski, kolejna przebiegła historia tego Sejmu. Przewodniczącym Klubu ZSL został nieoczekiwanie dla siebie Aleksander Bentkowski, skrytykował na pierwszym posiedzeniu swojego klubu zaproponowany przez NK ZSL projekt regulaminu. Posłowie wybrali więc go przewodniczącym, przyjęli jego regulamin, a wszystko co proponował NK ZSL odrzucili.

— Czy są jakieś inne kandydatury? — zapytał marszałek senior prowadzący posiedzenie. Chwila ciszy. I wtedy wystąpił Adam Michnik. To widzieliśmy w telewizji. Czego nie widzieliśmy?

Na twarzy Lecha Wałęsy pojawił się z mieszcą niesmak. Po zakończeniu obrad przewodniczący „Solidarności” nie krył swoich pretensji.

— Nie wiedziałem, że jesteś taki rozbraiacz. To było zupełnie niepotrzebne...

— Ależ Lechu — tłumaczył się Adam Mich-

nik. — Nawet gdyby to chodziło o ciebie jako kandydata, też bym powiedział to samo...

— No, no — dobroduszenie pogroził szef w odpowiedzi.

Kiedy zaś po południu otwierano Senat złożony prawie w całości z członków „Solidarności” i padał również tylko jedna kandydatura, kuluary zareagowały śmiechem.

— Brakuje tam Adama Michnika, on by im przypomniał, że powinno być dwóch kandydatów — mówiono.

W Sejmie po wystąpieniu Adama Michnika zapadła głucha, niezręczna cisza. Jedynym przytomnym człowiekiem okazał się być marszałek senior.

— Proszę o odpowiedź, to do pana — zwrócił się do świeżo upieczonego przewodniczącego Klubu ZSL — Aleksandra Bentkowskiego. Tak nieszcześliwa i zakłopotana mina rzadko ma się okazję oglądać. Ciężko i powoli sunął

do sejmowej trybuny. Kiwając się, cicho wyjąkał, że Klub ZSL ma tylko tę jedną kandydaturę i innych nie rozważał. Przystąpiono do najbardziej dramatycznego momentu głosowania. Mikołaj Kozakiewicz jeszcze głębiej zapadł się w fotel prawie nie spoglądając na salę.

Koalicja, która w czasie wyborów do Sejmu i Senatu rozpadła się, tym razem pokazała, że jest jeszcze siłą. Jej las rąk był jednoznaczny. Za kandydaturą Mikołaja Kozakiewicza głosowali także posłowie „Solidarności”. Między innymi Bronisław Gerek i Janusz Onyszkiewicz. Adam Michnik wraz z siedzącą wokół siebie grupą był przeciw. Andrzej Łapicki też. Przeciwnych było także kilku posłów z Klubu ZSL. Podobnie Jacek Kuroń. Władysław Zabiński wstrzymał się.

Mikołaj Kozakiewicz miał dobre wejście, ale tylko wejście. Rozpoczął od przedstawienia szklanki, nalania do niej wody, spokojnego wyłożenia przyniesionych w teczkę papierów, drugiej pary okularów. Sala rozbrzmiewała sympatycznymi śmiechami, niektórzy bili brawa. Brak doświadczenia spowodował jednak, że w trakcie prowadzenia obrad gubił się, był nieporadny, rozumiał opacznie niektórych mówców bądź też innych w ogóle nie mógł dosłyszeć.

Pierwszego dnia gubili się w gmachu przy Wiejskiej wszyscy debiutanci. Straż marszałkowska cierpliwie wyjaśniała, tłumaczyła, wskazywała. Jedyne miejsce, do którego nikt nie błądził — to sejmowa restauracja. Odrobny tłum rzucił się w jej kierunku wygłodził i żądny skomentowania nieoczekiwanych wrażeń. Pekający w szwach lokal obliczony tylko na 200 miejsc wymieszał dokładnie wszystkie sejmowe frakcje. Zamawiano przede wszystkim golonki, których wydano tego dnia ponad siedemset. Do obiadu bito piwo „Krakus” (600 zł). Przy smacznym jedzeniu po umiarkowanych cenach (koszt jednego obiadu

w granicach 500—1200 zł) dyskutowano o problemach gospodarczych.

II.

Inną atmosferą miał Senat. Zainteresowanie jego obradami było również początkowo bardzo duże. Szybko jednak zniknęło i już drugiego dnia publiczności i dziennikarzy było tu niewiele. Zasiadło do samych senatorów, którzy dali popis braku przygotowania. Ponad godzinę zajęło im omawianie wcześniej już przedyskutowanego w klubie regulaminu pracy izby. Na trybunę wchodziły coraz to nowe osoby i mówili, mówili, mówili...

Lech Wałęsa, który w miarę upływu czasu coraz niespokojniej kręcił się i wiercił, w końcu nerwowo nie wytrzymał i przeprasząc tonem tłumaczył się siedzącemu obok Wojciechowi Jaruzelskiemu:

— Oj, jak oni lubią gadać.

Brak doświadczenia w prowadzeniu obrad Senatu wykazał też marszałek Andrzej Stelmachowski. W porównaniu z nim Stanisław Stomma, który prowadził obrady jako marszałek senior wydawał się wręcz doskonały. Rezultat pierwszego dnia był taki, że po godzinie ziewał już Gustaw Holoubek, a w kwadrans później Wojciech Jaruzelski.

Pomysłów senatorzy mają moc. Do najlepszych z nich należała niewątpliwie koncepcja podzielenia 100-osobowego Senatu na dwadzieścia kilka komisji, która chwilowo nie przeszła choć jak się zdaje, wszystko zmierza w tym kierunku. Za wielu tu ambitnych i elokwentnych profesorów, którym tytuł senatora nie wystarczy a pewnie chętnie doręcziliby doń zwrot „przewodniczący komisji senackiej”.

Dziennikarze i fotoreporterzy czatowali na jednego w Senacie niezależnego — Henryka Siokłosa. Przybył do Warszawy z nieodłącznym sekretarzem prasowym, ale rozmawiać z prasą nie chciał. Podczas głosowań nie wychylał się, był zawsze za tym, co chce większość z „Solidarności”. Przywitał się grzecznie z pozostałymi w jego rządzie senatorami, lecz następnego dnia siedział już sam. Senator Mieczysław Tarnowski wyraził mu publiczne podziękowanie za obecność i wyraził życzenie, że po następnych wyborach będą w Senacie reprezentowane również inne ugrupowania polityczne. Nie przypało to do gustu kilku senatorom, którzy po zakończeniu obrad z furją zaatakowali Mieczysława Tarnowskiego.

— Co pan sobie wyobraża? Dziękować członkowi, który sobie kupił łóżko, by zostać senatorem. To skandal! Postać imy pana nieodpowiednie zachowanie na forum klubu!

Za letnimi w sumie obradami obu izb kryła się jednak podskórnie ostra i zawzięta walka polityczna. Kto będzie prezydentem? Przywódcy wszystkich ugrupowań dokładnie analizowali każde z głosowań, próbując na tej podstawie wywnioskować szanse kandydatury Wojciecha Jaruzelskiego. W klubie PZPR posłowie składali oświadczenia, na kogo będą głosować. Jeden poseł (ten, który uzyskał w pierwszej turze wyborów aż 70 proc. elektoratu) nie ujawnił zamiarów. Jak zachowają się inni? Więcej znaków wskazuje, że Wojciech Jaruzelski jednak nie zdecydował się na fotel prezydenta, lecz ostateczne rozwiązanie tej zagadki leży w rękach Lecha Wałęsy i jego posłów. Ot, po prostu znak nowych czasów w dziejach PRL.

1. Moskiewska wiosna '89

Dłuższy pobyt w stolicy Związku Radzieckiego, kiedy już „zaliczy się” trasy opisane w przewodnikach i przemierzy popularne place, ulice i bulwary, daje szansę na niespieszną obserwację i szczególnego rodzaju podglądanie życia miasta. Zapewne tego rodzaju obserwacje mają charakter subiektywny, nieoficjalny, ale tylko w taki sposób można mieć osobisty stosunek do ludzi i miejsc, zdarzeń i sytuacji, które znajdują się w polu widzenia Polaka lub innego cudzoziemca z życzliwością i zaciekawieniem oglądającego wiosenną Moskwę.

Tegoroczny maj, jak twierdzą moskwićczanie, był nietypowy — najpierw upalny początek, potem kilka dni zdecydowanie chłodnych i wybuch wiosny, która w ciągu kilkunastu dni przerodziła się w upalne lato. Na początku czerwca, gdy piszę te słowa, jeszcze kwitną bratki i stokrotki, a już słońce wypaliło trawę i zmatowiło świeżą zielen. Nietypowa jest moskiewska wiosna 1989 r., można powiedzieć, że najstarsi ludzie takiej nie pamiętają.

Oto w maju, w bezpośrednich transmisjach ze Zjazdu Deputowanych Ludowych ZSRR, ludzie usłyszeli o sprawach i problemach dotyczących skrzętnie skrywanych lub w różny sposób kamuflowanych. O nadużyciach władzy i korpucji jej prominentnych funkcjonariuszy, o niesprawności systemu politycznego i ekonomicznego, o obszarach społecznej biedy, zniszczeniach ekologicznych, o potrzebie reform, demokracji i swobód obywatelskich. Zapewne przez dziesiątki lat w oficjalnych środkach masowej komunikacji nie ujawniono radzieckiemu społeczeństwu tak wielu drastycznych napięć w życiu zbioro-

wym jak stało się to właśnie podczas tegorocznej wiosny.

Jednocześnie wydłużyły się kolejki, zabrakło w sklepach mydła i soli, zapalek i proszków do prania. Nie tylko na termometrach można było zobaczyć wzrost temperatury. Próbie odnotowania różnych wrażeń z wiosennej Moskwy poświęcone są zapiski składające się na ten raptularz.

2. Co widać na ulicach i w zaułkach

Moskwa nie jest miastem pięknym, choć zapewne jej

trzeb jednostki, że betonowe, granitowe i marmurowe gmachy tworzone dla mas, dla tysięcy anonimowych Iwanowów, Pietrowów i Kuźnieców.

Dopiero wejście na przykład na stary trakt Pierieciestienki (obecnie ul. Kropotkinskaja) i zagłębienie się w jej zaułki pozwala zobaczyć humanistyczną skalę klasycystycznej architektury z czasów odbudowy Moskwy po wojnach napoleońskich. Jeszcze w latach sześćdziesiątych ta stara Moskwa szła pod kilof i lemisz spychacza. Dziś widać już troskę o jej zachowanie — za-

niają je resztki plakatów z kampanii wyborczej z żądania- mi i obietnicami politycznymi — sprawiedliwości społecznej, praworządności, ukrócenia samowoli aparatu partyjnego i państwowego. Często można przeczytać niedokładnie usunięte wezwania:

„Droży moskwićczanie, głosujcie na Borysa Nikołajewicza Jelcyna”.

W okolicy placu Aleksandra Puszkina na ścianach naklejone komunikaty i biuletyny nieoficjalnych ugrupowań politycznych. Obok nich toczą się w grupach kilkunasto-, kilku-

ulicy duże ogłoszenie o pokazie wideo i dyskusji „Seks — strefa zakazana”, dalej apel, aby odnalezione w Jekatierinoburgu (obecnie Swierdłowski) szczytli rozstrzelanego Mikołaja II i jego rodziny pochować w grobach carskich w soborze twierdzy Pietropawłowskiej, gdyż „naród, który pluje na swoją przeszłość, nie jest godzien przyszłości” oraz odręczny plakat-wezwanie: „Deputowani! Bądźcie sprawiedliwi i obiektywni. Naród powinien znać całą prawdę i tylko prawdę. Łapowników i złodziei pociągnąć do odpowiedzialności”. Jeszcze dalej ogłoszenie o odczycie doc. W. Piebiediewa i dyskusji z udziałem deputowanych na temat „Czy jest przyszłość dla Rosji?”. Na ruchliwym skrzyżowaniu śródmiejskim handlowa kooperatywa „Wega” sprzedaje po półtora rubla znaczki „pierestrojki”, „glasnost”, „mariboro”, ale nie widać kupujących.

Przy stacji metra Kuźniecki Most ciekawostka: kiosk z napisem „Informacje”, a w środku wywieszka „informacji nie udzielam”. Młody mężczyzna sprzedaje breloczki i kalendarzyki z gołymi, panienkami, zdjęciami z pogrzebu W. Wysokiego, horoskopy, podobny radzieckich i zagranicznych gwiazd rocka, wprasowania z Myszka Micka, poradnik „Jak zamienić mieszkanie” oraz rozmaite żartobliwe znaczki z napisami „Nie uczcie mnie żyć”, „Sex-instructor”, „Czy ci się podobam?”. Są także kolorowe znaczki z portretem M. Gorbaczowa. Widziałem w Moskwie kilka osób z takimi znaczkami, z całą pewnością byli to cudzoziemcy.

A poza tym ulice pulsują spieszącym tłumem ludzi. Kobiety modnie ubrane, wielu oficerów z dużymi teczkami, mężczyźni „na posadach” w garniturach i krawatach, sporo kurtek i spodni dżinsowych. Dość częstym widokiem są ko-

lejki, przede wszystkim po importowane z Bułgarii ogórki i pomidory oraz kubańskie pomarańcze. Wbrew wyolbrzymianym w opowieściach turystów skutkom radzieckiej akcji antyalkoholowej, wódki i koniaki, gorzej z winami, można w centrum Moskwy kupić bez większych kłopotów.

Pod pomnikiem Aleksandra Puszkina umawiają się zakochani, jednak wśród spieszącego się ulicznego tłumu brak dla nich miejsca, czekają więc w kolejkach przed kawiarniami, aby zwołać się dla nich stolik, albo po prostu tulą się do siebie na ruchomych schodach w metrze, całują w parkach i na bulwarach. Gdy się jednak uważnie rozejrzeć, zwraca uwagę spora liczba samotnych kobiet, zadbanych, eleganckich, spacerując, siedząc na ławkach, po dwie, trzy. To samo można zauważyć w teatrach, salach wystawowych.

Na ulicach sporo przybyszów z azjatyckich republik, nierzadko w charakterystycznych uzbekich lub tadżyckich nakryciach głowy. Wśród wielkomiejskiego tłumu można także dostrzec weteranów z przypiętymi do cywilnych ubrań orderami i medalami albo rzędnymi baretkami. Nie trzeba wielkiej przenikliwości, aby zauważyć, że żyją w nader skromnych warunkach. Przykry widok sprawiają kobiety z dziećmi i starszki proszące o wsparcie pod cerkiewiami, w podziemnych przejściach, a nawet na reprezentacyjnym prospekcie Kalinina.

C.D.N.

Raptularz moskiewski

Na ulicy i w zaułku

GRZEGORZ MATUSZAK

mieszkańcy mogą mieć odmienne zdanie na ten temat. Jeśli nie brać pod uwagę zabytkowych pałaców i cerkwi, monastyrów i ociałych fragmentów ulic z przełomu XIX i XX wieku, to o obliczu radzieckiej stolicy decyduje przede wszystkim pompatyczna, ciężka architektura z lat trzydziestych — sześćdziesiątych i współczesne betonowe osiedla wznieszone z wielkiej płyty według typowych, banalnych projektów. Ludzi, drzewa i kwiaty jak gdyby przytłacza ogrom tych budowli. Można odnieść wrażenie, że nie ma tu miejsca dla pojedynczego człowieka, że twórcy tej architektury nie dostrzegali po-

bytkowe obiekty poddawane są różnym zabiegom remontowym i konserwatorskim, ale większość tego typu prac ogranicza się do powierzchniowego odnawiania fasad. Potem farba się łuszczy, wilgoć nadal wgrzyza się w mury i odesłaurowany dom lub pałac trzeba remontować na nowo. Prawie tak samo jak w naszym Zamościu, rewaloryzowanym Krakowie i innych polskich miastach.

Przed laty chodząc po moskiewskich ulicach można było obok sztyldów sklepów i domów towarowych przede wszystkim czytać wnioski polityczne hasła i apele. Dziś uzupeł-

dziesięcioosobowych dyskusje polityczne. Jeszcze dalej w gablotach reportaży fotograficznych z tragicznych wydarzeń kwietniowych w Tbilisi: ludzie aresztowani, prowadzeni pod konwojem żołnierzy, ofiary w szpitalach, pogrzeby.

Na Bulwarze Twerskim plakaty zapraszające do Klubu Duchowej Kultury „Cytadela” na wykłady ezoteryczne, a obok na ścianach wśród ogłoszeń o zamianie mieszkania i korepetycjach z matematyki napisy „rockers fuckers” oraz „fuck off” świadczące, że nie tylko znajomość angielskiego, ale i swoista podkultura grup młodzieżowych dają w ten sposób znać o sobie. Na innej

wkład się zrewaloryzował i wyceniono go dziś na 208 tys. I bardzo dobrze, bo w związku z tym odjęto tę sumę od ceny nowego mieszkania, na jakie Rejniakowa się zamieniła, i zapłaciła za nie tylko 227 tys. zł plus 5 tys. za przydział.

Ale to jeszcze nie koniec obrotu gotówkowego. Otóż, nowy lokator, który jeszcze nie

Administracja PSM z ul. Śniadeckiego domaga się wymiany zlewozmywaka z bateriami i szafka oraz montażu nowego piecyka trójpalnikowego i postawienia go w tym samym miejscu, jak i wykonania próby szczelności gazu. No dobrze, ale gdzie te urządzenia kupić i za ile. Poradzonko! Malgorzata Rejnlakowej, żeby wymontowała je z nowego mieszkania i przywiozła na stare. To jest takie dowcipne, że mogą stać z uśmiechem.

Ulica Ossowskiego tonie w zieleni klonów. Małe domki ogródki, a w podwórkach kury, psy, psiki, króliki. Można spokojnie odechnąć ciszą i pomyśleć, że gdyby spółdzielnia zagwarantowała lokatorom odpowiednie materiały, urządzenia i usługi, co jest jej obowiązkiem, to lokatorzy zapłaciłby za wszystko, a spółdzielnia zarobiłaby na każdej zmianie mieszkania w sposób bardziej uczciwy, bez nerwów i zgrzytów, przy godziwym cenniku.

NR 30 (1634), 23 LIPCA 1989 R.

bił. A przecucie — okazało się rychło — miał nieźle, bo gdy dzieci poszły się spokojnie bawić do małego pokoju, zaś wszystkie babskie tematy zostały wyczerpane, rozmowa zeszała, jak się spodziewało, na jego osobę. Zapamiętał szczególnie końcówkę:

— To jak on taki zły dla ciebie, to nie możesz go otruc? Znajdziesz sobie innego, lepszego.

— Już ja się postaram. Milicja go załatwi. A jak nie, to Sławek pomoże.

Słyszac te słowa, Jan W. przeżył szok. Przestał też od razu czuć się głupio w szafie, bo co by nie powiedzieć, wyglądało to przecież mało poważnie. Ale tak, widząc, nieraz trzeba, żeby poznać prawdę. Jan W. nie miał już w tym względzie żadnych wątpliwości.

Pierwsze, co zrobił po wyjściu z ukrycia, to zaczął natychmiast opuścić teściów mieszkające. Nie chciał jej więcej widzieć na oczy. Zonę zaś obiecał, że jak tylko zostaną sami, już on sobie z nią porozmawia. Do rozmowy jednak nie doszło, gdyż Maria W. wyszła razem z matką, zabierając też obie córki. Jan W. czekał na nie do północy. Na próżno. O piętnaście nad ranem zapukał do drzwi krewniaków żony, mieszkających kilka ulic dalej. Przypuszczał, że mogli

łopatami i co tam jeszcze było ostrego pod ręką.

— Przyntośtem tylko wezwanie dla Marysi — próbował im wyjaśnić, a widząc, że nie odnosił to skutku, krzyknął, iż w takim razie musi to chyba zrobić przez milicję.

Odpowiedzią były dwa strzały — prawdopodobnie z broni myśliwskiej, oddane przez wspomnianego już Sławka, szwagra żony, który należał do kółka łowieckiego (i przez to między innymi miał rozległe znajomości). A dlatego „prawdopodobnie”, że wśród zapadającej ciemności Jan W. nie mógł rozpoznać, kto strzela. Poza tym był już dosyć daleko od stojących na uboczu zabudowań gospodarstwa teściów, w którym tyle im pomagał swego czasu. Ale — było, milne.

Dyżurny posterunkowy odnaleziony po dłuższych poszukiwaniach na zapleczu miejscowej knajpy, wysłuchał Jana W. z niedowierzaniem, obiecał jednak, że nazajutrz wyjaśni wszystkie okoliczności zdarzenia, co — nawiasem mówiąc — zrobił. Oczywiście, z rezultatem łatwym do przewidzenia: nikt nie widział, ani nie słyszał. Jak to na wsi, gdzie obcych nie lubią, a sąsiedzi zawsze woli trzymać stronę sąsiada. I na tym się na razie jego rola zakończyła.

Tak więc w poniedziałek Jan W. stawiał się na wezwanie dzielnicowego sam. Opowiedział, jak było i — że wróciwszy do Łodzi późnym wieczorem,

ko swoje i jawnie, a nie po kryjomu, to jeszcze pół biedy. Ale wzięła wszystko! No to jak inaczej to nazwać niż — kradzież?

Tego samego dnia, 15 kwietnia 1986 roku Maria W. złożyła w sądzie rejonowym pozew o alimenty, twierdząc w jego uzasadnieniu, iż mąż od czterech lat nie łoży na utrzymanie rodziny. Ale Jan W. jeszcze wtedy o tym nie wiedział. Nie spodziewał się nawet. Skąd? Zawsze taka niezaradna była, niezdeterminowana, powolna... Dlatego z trudem przychodziło mu pogodzić się z myślą, że kobieta którą posłubił, ma też drugie oblicze — jakże inne. I że coraz bardziej otwarcie zaczyna je pokazywać. Nie miał przy tym wątpliwości, że — pod dużym wpływem rodziny, która znając go głównie z jej opowiadań, nie mało musiała też włożyć trudu, by upewnić Marię w., że powinna zniszczyć męża do reszty, znaleźć sobie innego i że dzieci na tym nie ucierpią. Wyraźnie widać było w tym ich rękę. Potwierdziła to zresztą wkrótce sama Maria W., w chwili szczerości i zawzięcia. Chciała wszystko naprawić, proponowała, aby zapomnieli o tym, co było i zaczęli jeszcze raz. Ale zanim doszło do tego, zaaplikowała mężowi kolejną dawkę mocnych wrażeń, po których ten nie miał już najmniejszej ochoty niczego naprawiać czy zaczynać od początku. Nie widział na to szans.

Znalazłszy się w pustym mieszkaniu, Jan W. bliski był załamania. Nie miał nic. Została stara kanapa i kupka ubrań na środku podłogi. Chciał napić się herbaty — nie było szklanki, łyżeczki, czajnika... Herbaty też oczywiście nie było. Tylko usiąść i płakać. Nie zrobił jednak tego. Poszedł do sklepu i za ostatnie pieniądze kupił najniezbędniejsze rzeczy. Potem napisał do brata, do Katowic list z prośbą o pożyczkę. Dostał dwieście tysięcy. Wystarczyło, by się szybko jakos urządzić, a także — na motocykl, który był mu potrzebny między innymi po to, żeby co kilka dni móc jeździć na wieś do dzieci. W nawianiu z nimi kontaktu pomógł tamtejszy ksiądz. Obiecał, że porozmawia z teściami. Zawarł układ: oni zgodzą się na wizyty zięcia, on będzie dla nich miły. Jan W. dał księdzu słowo, podziękował i pojechał — już tym nowym motocyklem.

Córki powitały go ze szczera, dziecięcą radością. Zonę oraz teściów — raczej wrogo. Od progu mieli pretensje, że ociepla się z podaniem im ręki, co faktycznie nie było zbyt grzeczne, a potem — że zarzuca żonę kradzieżą mebli z mieszkania. Bo nie wytrzymał i zaraz powiedział — tak go to bolało. Nie potrafił udawać, wdzięczyc się fałszywie. Białe to białe, a czarne — czarne. Po chłopsku. Co w sercu, to na języku. Taki już charakter.

Po paru dniach przyjechał znowu. Zabrał dziewczynki na spacer. Miał dla nich kanapki z wędliną, herbatę w termosie, słodycze. Wszystko z Łodzi. Następnym razem — podobnie. Jeszcze następnym... Kursował tak swoją wesołą dwójką — trzy razy w tygodniu — jak tylko warunki pozwalały, bo przecież ciągle pracował w nocy, przy wypieku chleba i wypaść też się kiedyś musiał. Później, gdy zrobiło się już ciepło, zabierał koc i szedł z dziećmi do sadu, bawił się z nimi, czytał im... Niezapomniane chwile. A jak cieszyła się Małgosia, gdy przywiózł jej w prezencie nowiutki rower — składak. Taki, o jakim marzyła.

3.

Z żoną, choć od początku kwietnia do końca maja siedziała u rodziców (na zwolnieniu lekarskim zresztą, co nie przeszkadzało jej wywozić mebli, czy biegać po sądach i prokuraturach), niewiele rozmawiał. Raz tylko, kiedy dostał wezwanie na sprawę o alimenty, wygarnął jej, co myśli:

— Jak mogłaś tak zrobić?! Napisać, że nie dajesz na dzieci! Ze nie interesuję się nimi! Jak ci nie wstyd? I dlaczego, skoro już taki zły jestem, jak wszyscy tu mówicie, nie złożyłaś sprawy o rozwód? Przecież z nami i tak już koniec. W każdym razie, jeśli ty tego nie zrobisz, to ja uniosę, chociaż mężczyźni nie bardzo wypadają. Ale trudno. Zastanów się nad tym. Daję ci czas do czerwca.

Maria W. zaczęła płakać

— To może ja wycofam tę sprawę o alimenty, co? I z prokuratury też wycofam, dobrze? — dodała nieśmiało po chwili.

— Z jakiej prokuratury?!

— Rejonowej. Napisałam doniesienie, że się nade mną znęcaś moralnie i fizycznie. Rodzina mnie podpuściła.

W Jana W. jakby piorun strzelił. To najpierw milicja, przesłuchania (bo dzielnicowy K. wzywał go już parę razy), a teraz jeszcze prokuratura i sąd? Nie, tego już naprawdę za wiele. Koniec.

— Rób, co chcesz — rzekł po chwili — ale rozwód i tak będzie. Nie ma odwrotu.

I słowa dotrzymał, mimo że Maria W. istotnie wycofała obie sprawy, a także niespodziewanie przywiozła do Łodzi radio i telewizor (zepsuty) oraz obiecała, że reszta rzeczy wkrótce też wróci na swoje miejsce w mieszkaniu.

Na pierwszej rozprawie rozwodowej, 15 lipca 1986 roku Jan W. domagał się — jak w złożonym pozwie: rozwiązania małżeństwa, powierzenia mu opieki nad dziećmi i obciążenia kosztami postępowania po równo obu stron. Alimenty — do uzgodnienia. Przyjmie każdą sumę ustaloną przez sąd. Maria W. stwierdziła natomiast, że na rozwód nie wyraża zgody, a w ogóle dziwi się postępowaniu męża, ponieważ niedawno rozpoczęli „nowe życie” i wszystko jest na dobrej drodze. Skąd więc ten nagły zwrot?

Na drugiej rozprawie, 13 listopada 1986 r. prawie nic się nie zmieniło. On nadal chce rozwodu, ona — nie. Inna trochę jest natomiast sytuacja, gdyż tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego Maria W. na powrót przeprowadziła się z córkami do Łodzi, zajmując w mieszkaniu mniejszy pokój. Sąd bierze i to pod uwagę i postanawia skłóconym małżonkom dać jeszcze jedną szansę. Może się pogodzą. Jan W. protestuje przeciw dalszemu odroczeniu sprawy, ale jego adwokatka przekonuje go, że tak będzie dla niego lepiej, że tak trzeba. Godzi się więc w końcu.

4.

— I to był, pante redaktorze, mój błąd, nie pierwszy zresztą i nie ostatni. Bo gdybym twarzą, jak przedtem, domagał się rozwodu, sprawa nie ciągnęłaby się tak długo i prawdopodobnie nie doszłoby do tego obłania przed komisariatem, a ja chodzącym dziś na wolności. Ale — jak to mówią — człowiek uczy się na własnych błędach. Posłuchałem adwokatki, bo obiecała mi, że dzięki temu łatwiej i szybciej wygram. Dopiero później zorientowałem się, że jej wcale na tym nie zależało, ale — na pieniądzech. Powiedziała mi zresztą kiedyś uprzedem: „Kto nie ma czym płacić, ten w sądzie nie wygrywa”. Wnerwiło mnie to, bo przecież dalem jej do ręki. Widać jednak — za mało.

Drugi mój poważny błąd polegał na tym, że na trzeciej rozprawie rozwodowej zgodziłem się całą winę wziąć na siebie. Znowu adwokatka mnie namówiła. Pomyślałem: niech już będzie, jeśli przez to mam się szybciej uwolnić od żony. No i to się zaraz obróciło przeciwko mnie, bo wyszło, że rzeczywiście ją maltretowałem. To było w piątek, 24 kwietnia osiemdziesiątego siódmego. Tego samego dnia, kiedy zostałem pobity.

JÓZEF RETMAN

C.D.N.

GRZEGORZ
GAŁASIŃSKI
PREZENTUJE:

Singapur



OD REDAKCJI: Imlona ośób występujących w niniejszym reportażu zostały zmienione. Tytuł całości został zaczerpnięty ze słownika gwarzy ziemni kaliskiej lub ziemni chelminskiej. Nie wiąże się to o kreślenie z żadną konkretną osobą czy rodziną używającą takiego nazwiska.

Glugla

(2)

być właśnie tam, jako że na autobus na wieś wieczorem zdążyć już nie miały szans.

Mimo wczesnej pory, Jerzy M. już nie spał. Świadczyło o tym zresztą zapalone światło w oknie, które Jan W. dostrzegł z daleka. Dlatego miał śmiałość. Powiedział, że przychodzi zabierać rodzinę do domu, bo tam jest jej miejsce. Powiedział nie pyając nawet, czy dobrze trafił, bo od razu zauważył ubranka córek w przedpokoju na wieszaku.

Jerzy M. przyjął gościa ze zrozumieniem. Przeciwnie niż jego małżonka, która dała znać Janowi W., że nie jest mile widziany. Umożliwiła mu jednak kontakt z żoną.

— Co ty zrobisz i twoja matka — oświadczył jej sucho Jan W. — niewiele mnie obchodzi, ale dzieci mają być w domu.

I zaraz wyszedł. Po pierwsze dlatego, że żona podniosła krzyk; po drugie — by spełnić żądanie gospodyni. Nie chciał przeciągać struny. Zrozumienia zaś — jak się orientował — i tak by nie znalazł, jako że Janina M. po rozmowie z krewniaczkami była już odpowiednio nastawiona.

W domu Jan W. czekał na córki do ósmej. Miał nadzieję, że tak, jak казаł, zostaną przyprowadzone. Później pojechał do brata, co go trochę uspokoiło. Nie na długo jednak, bo gdy wracał, dowiedział się od dozorczyń, że była u niego milicja i że ma się niezwłocznie stawić na posterunku. Pogroźki żony nie były więc wcale czezą gadaniną — pomyślał przypominając sobie jej słowa. Trzeba się mieć na baczności, bo z milicją, jak to z milicją — nigdy nic nie wiadomo.

I rzeczywiście, dzielnicowy K. jeszcze zanim o cokolwiek zapytał, już pogroził mu pięścią i powiedział, że jeśli nie pogodzi się z żoną, to... Po czym wręczył mu dwa oficjalne wezwania na rozmowę wyjaśniającą, na poniedziałek. Jedno z nich Jan W. miał przekazać żonie.

— Ale nie wiem, gdzie ona jest — zdziwił się.

— Jak to — nie wiesz?! Na wsi u rodziców — huknął dzielnicowy. — Zresztą jak to zrobisz, to już twoja sprawa.

Chcąc nie chcąc, pojechał zatem Jan W. w niedzielne rano do żony na wieś — mniej więcej sto kilometrów od Łodzi, stanął pod kościołem i czekał. Myślał: przyjdzie na mszę, to dam jej wezwanie, zobaczę się z dziećmi i jakoś to będzie. Bo do teściów nie chciał zachodzić. Bóg mu świadkiem. Szczególnie, że wyrzucił teściową z domu. No, ale w końcu musiał, ponieważ Marii W. tej niedzielni na żadnej mszy nie było.

Teściowie wraz ze swą drugą córką powitali go widlami,

rem, wysłał jeszcze z pocztą główną telegram do żony z wiadomością o wezwaniu, ale czy dotarł on na czas nie wie. Dzielnicowy też nie wiedział, przy czym — jak stwierdził — nie miało to już większego znaczenia wobec faktu, że małżonkowie W. nie doszli do zgody. I zaczął przesłuchiwać wezwanego „na okoliczność” grożenia nożem Marii W. w mieszkaniu Janiny i Jerzego M., bo „takie miał doniesienie”.

— Jakim nożem? — zdumiał się Jan W.

— Już my to ustalimy.

Gdy wychodził z komisariatu, czuł, że ma nogi jak z waty.

Po tygodniu, ponieważ Maria W. nie pojawiła się w Łodzi, znowu pojechał na wieś — żeby zobaczyć się z dziećmi i zawieźć im trochę rzeczy oraz Małgosia — książkę do szkoły, gdyż dowiedział się, że tam będzie kończyć pierwszą klasę. Znamy mu już wiejski posterunkowy, który po długim naleganiu zgodził się pełnić rolę „parlamentariusza”, rzeczy przekazał, ale spotkania z dziećmi nie załatwił, bo rzekomo nie wyraziły one na to ochoty. Jan W. nie mógł u wierzyć. Domyslił się też natychmiast, czyja to „zasługa”. Co jednak mógł zrobić w takiej sytuacji? Nic. Na razie — nic. Postanowił bowiem, że przedzej, czy później musi się jakoś dostać do dzieci. Żeby nie wiadomo, co!

2.

15 kwietnia 1986 r. rano, wróciwszy z nocnej pracy w piekarni, Jan W. zastał mieszkanie otwarte, a w nim kartkę z pismem żony:

„Byłam wczoraj wieczorem, ale cię nie zastałam w domu. Zabrałam rzeczy osobiste, książki i ubranka dzieci”.

Tymczasem zniknęło prawie wszystko: meble, odzież, posciel, szafy, dywany, telewizor... Także — złota ślubna obrączka i ponad sto tysięcy złotych, które miał w kieszeni marynarki w szafie.

— Kto to, mógł zrobić? — zapytał dzielnicowy K., przyjmując meldunek o kradzieży.

— Jak to kto? Zonę. Nawet sąsiedzi widzieli.

— Ee, jak żona, to nie jest żadna kradzież. Zabrała swoje rzeczy i tyle — zakończył sprawę i odłożył pióro. Jan W. przecierał czyjeś zdumienia. Swoje rzeczy? Tak? A kto na to wszystko pracował, gdy była na urlopie wychowawczym? Kto spłacał kredyt dla młodych małżeństw? Bo żeby zabrała naprawdę tyl-



MARIA
SIMONAJTIS-URBAŃSKA

Ojczyste pejzaże

Krzyże naszych zmarłych jeszcze zostały
tak zarosły niepewnością, że nadzieja
otwiera zapach zieleni

Krzyże naszych pragnień
wdeptane w system praw i dowodów
nie do zrozumienia
i nie do rozwiązania

Poszukane krzyże naszych nadziei
wciąż pytają o właściwą drogę
i nie ma odpowiedzi
i nie wiem co się stanie z prawdą
od której odchodzimy z lękiem

Półka z książkami

DOM I ŚWIAT

Rabindranath Tagore już za życia był niemal
prorokiem, a jego filozofia zjednała mu rzesze
wymawców. Do dziś istnieje w Indiach ośrodek
propagujący nauki Tagore. Był wielkim pisarzem,
człowiekiem porównywanym z Lwowym i Tolstojem.
Jego powieść „Dom i świat” (1916 r. Polski prze-
kład w 1928) stała się kanonem literatury klasycy-
stycznej literatury światowej. I choć literacka
Nagroda Nobla otrzymał w 1913 r. za „Pieśni
ekstazy”, to książka, która opiera się na problemie
życia i wyszła z niej zwycięsko, jest właśnie „Dom
i świat”. — dzieło kryzysu małżeństwa Bimala i
Nikhila.

Przekład Agnieszki Glinczanki.

Rabindranath Tagore: Dom i świat, LSW 1989.
Str. 210. Cena 480 zł.

Opracował: E. IW.

Słownik biograficzny

Do Łodzi dotarły talony subskrypcyjne na re-
print „Polskiego słownika biograficznego” pod re-
dakcją profesora Emanuela Rostworowskiego. Pra-
ca ta zawiera encyklopedyczne biogramy osób,
które wiele dokonały w dziedzinie polityki, dzia-
łalności społecznej, życia gospodarczego, kultury
polskiej oraz zasłużyły się w historii Polski. Ka-
dy życiorys opatrzone jest we wskazówki biblio-
graficzne oraz ikonograficzne. Autorami opaco-
wania są wybitni historycy.

Ukazywanie się jeszcze w tym roku zreprintowa-
nych pierwszych tomów „Polskiego słownika bio-
graficznego” zbiegnie się z ukazaniem 31 tomu po-
przedniego wydania tradycyjnego (obejmującego
biogramy do litery „R”). Nakład słownika wy-
niesie 5 tysięcy egzemplarzy, rozprowadzanych w
subskrypcji. Tomy od „R” do „Z” będą miały
zwiększony nakład, aby mogły nabyć je osoby
kompletujące poprzednią, zwykłą edycję.

Reprint będzie dziełem Wydawnictwa „Ossoli-
neum”, które zapowiada druk 8-10 tomów rocz-
nie. Wartość przedpłaty subskrypcyjnej wynosi 35
zł. i stanowi zaliczkę na ostatnie części dzie-
ła.

(A. WER.)

Intuicja i perfekcja

Rozmowa z aktorem, BOGUSŁAWEM SOCHNACKIM

— Gratuluję Nagrody Mini-
stra Kultury i Sztuki wręczonej
podczas uroczystości jubileusz-
owych stułecia sceny łódzkiej.
Pańska obecność na scenach
łódzkich w ciągu 30 lat zapi-
sała się wieloma pamiętnymi
rolami. Dość wspomnieć Kubu-
śla Fatalistę, Hufnagla w „O-
peretce” Gombrowicza, Garbusa
w sztuce Mrożka, Szambelana
w „Panu Jowialskim”, Inteli-
genta w „Samobójcy” Erdmanna.
Ostatnio przypominał pan we
wzmownieniu „Trans-Atlantyku”
postać ministra Kosiubińskiego,
gromko oklaskiwana przez pu-
bliczność. Znany jest pan także
z filmów, licznych seriali tele-
wizyjnych, dubbingu oraz au-
dytów radiowych. Nagroda stała
się świetną okazją do refleksji
o teatrze, o pracy aktora, o ży-
ciu. Jaka była pana droga do
teatru?

— W 1953 r. ukończyłem łódz-
ką szkołę aktorską, nie mając
odpowiednich zewnętrznych wa-
runków. Wiedziałem jednak, że
mimo rudych włosów i piegów
potrafię przekazać widzom istot-
ne treści, że mam ku temu mo-
żliwość. Po latach pracy, gdy
zebrałem spore doświadczenie i
wzrosła moja świadomość za-
wodu, potwierdzam trafność
wyboru.

— A zatem, jakie jest pań-
skie widzenie teatru?

— Nie odpowiada mi teatr Hi-
teracki, wydumany, jestem zwol-
ennikiem teatru, intuicyjno-
emocjonalnego. Nie znaczy to
jednak, że rezygnuję z dążenia
do perfekcji, uzyskiwanej przez
systematyczne ćwiczenie i dy-
scyplinę zawodową.

— Jak określiłby pan swoje
aktorstwo?

— Myślę, że jest to proces po-
legający na znalezieniu harmonii
wewnętrznej i właściwych środ-
ków wyrazu. Muszą się ze sobą
zgodzić — postać wyobrażo-
na, ta, która jest do nakreśle-
nia z moją osobowością. Powin-
ny nałożyć się jedna na drugą.
W przeciwnym wypadku poja-
wia się konflikt. Nie chcę bu-
dować roli jedynie za pomocą
charakterystyki i gestów, bo
twór, który powstaje wówczas
jest sztuczny. Odczuwam wtedy

rodzaj wstydu z powodu fałszu
i udawania. Niewątpliwie w tej
dość żmudnej pracy nad budo-
wą kształtu scenicznego moją
busolą jest intuicja.

— Przyzna pan, że na poziom
pracy aktora mają znaczny
wpływ takie elementy teatru
jak: zespół, reżyser, publiczność.
Który z nich wydaje się panu
najważniejszy?

— Bardzo cenię sobie dobrą,
chłoną publiczność, której o-
becność aktorzy wyczuwają nie-
omylnie i która działa na nich
mobilizująco. Miałem także
szczęście pracować z uznanymi
reżyserami: Dejmkim, Zato-
skim, Hübnerem, Bradeckim.
Każdy z nich, jako duża indy-
widualność, rozwijał twórczo
aktora. Nie sprzyjały naszej
pracy reżyserzy, nadużywający
chwytów teatralnych oraz pseu-
dofilozoficzne sztuki, które są
wynikiem kalkulacji i żrącej
manipulacji ich autorów. Nie-
mniej aktor powinien sprawdzić
swoje możliwości w szerokim
repertuarze, a przede wszystkim
dyscyplina zawodowa nakazuje
mi wykonać swoją pracę najle-
piej jak tylko potrafie.

— W jaki sposób pracuje pan
nad swoim warszatem? Czy,
mając wielkie doświadczenie o-
dczuwa pan potrzebę dalszego
doskonalenia sprawności gło-
sowej, oddechowej i psychofi-
zycznej?

— W ciągu lat sam sobie zbu-
dowałem metodę, która mi się
sprawdziła. Z pewnych rzeczy
rezygnowałem, inne dodałem,
zmieniłem, ulepszyłem, aż wy-
kryształizował się programik,
który uprawiam niezależnie od
pogody, codziennie z wyjątkiem
niezłaz. Około trzech godzin in-
tensywnych ćwiczeń kończy się
zwykle rozgrzaniem całego or-
ganizmu. Mam warunki do
swobodnego ćwiczenia głosu, bo
mieszkam na skraju miasta.
Pamiętam zabawna historyjka,
kiedy pewnego dnia pracujący
nie opodał rolnik zdziwiony moi-
mi ćwiczeniami zapytał: „Panie,
dlaczego pan tak krzyczy?” Na
co odpowiedziałem: „Cóż, mam
taki zawód”. Pokiwał współczu-
jąco głową.

— Ten systematyczny trening

aktorski świadczy, że dając do
biegłości zawodowej, łączy pan
dwie tak sprzeczne z pozoru ce-
chy: intuicję i perfekcję.

— Jeśli pani tak to widzi,
cieszy mnie to.

— Ostatnio w wywiadzie u-
dzielonym „Życiu Warszawy”
przedstawił pan swoją koncep-
cję szkoły teatralnej, która
przewiduje odpowiedzialność mi-
strza za ucznia. Nie szkoła war-
szawska, krakowska czy łódzka
określałyby przyszłego aktora,
ale osobowość opiekuna. Jest to
mała rewolucja w szkolnictwie
teatralnym.

— Podałem ten projekt, który
jest wynikiem moich wielolet-
nich doświadczeń w pracy z
młodzieżą. Najpierw próbowa-
łem obserwować swoich stu-
dentów, zalecałem im ćwiczenia
eliminujące ich braki w zakre-
sie ruchu, dykcji, koncentracji.
Notowałem systematycznie uwa-
gi i analizowałem skutki.

— Jest pan aktorem cenionym
i popularnym. Uznanie przy-
niosło panu rolę teatralną, zaś
popularność — film i telewizja.
Która z form wypowiedzi arty-
stycznej wydaje się panu waż-
niejsza?

— Wiele satysfakcji daje mi
teatr. Szersza widownia zapo-
miniła mnie jednak z filmów i
seriali.

— Co dalej, jakie są pańskie
plany na przyszłość?

— Skusiła mnie znowu reży-
seria. Wyreżyserowałem kome-
die Bałuckiego „Grube ryby”
w studiu telewizyjnym. Bardzo
interesująca wydaje mi się tak-
że propozycja Andrzeja Żurow-
skiego, który zamierza zrealizo-
wać cykl monologów wykony-
wanych przez różnych aktorów
i mnie także zaprosił do współ-
pracy.

— Jest pan człowiekiem nie-
uchwytnym, ciągle zajęтым, za-
pracowanym.

— Cóż, aktorskie życie. Ale
mam na szczęście swoje pry-
watne zainteresowania: łowię
ryby, pielęgnuję rośliny, mam
dobrą rodzinę i kochanego wnu-
ka.

Rozmawiała:
JANINA KLIMASOWA

Koncert młodych

Stało się tradycją Filharmonii Łódzkiej, że ostat-
ni wieczór muzyki w sezonie poświęca prezen-
tacji młodych talentów — dyplomantów Akademii
Muzycznej w Łodzi.

Na ostatnim koncercie swój kunszt artystyczny
zaprezentowała czwórka młodych wykonawców.
Prowadzący koncert Bogdan Oleński rozpoczął
program Uwerturą do opery Mozarta „Wesele Fi-
gara”. W tym urzekającym wykonaniu utworu u-
derzała linia melodyczna narracji i mistrzowsko
dopracowana dynamika: od początkowego pianis-
sima smyczków, do fortissimo pełnej orkiestry.
Następnie sopranistka Katarzyna Nawak zaśpie-
wała dwie arie z oper Giuseppe Verdiego.
Pokrewnym nastrojowo pierwszemu dziełu wie-
czoru był wykonany przez Pawła Zebrowskiego
mozartowski Koncert C-dur na obój i orkiestrę

KV 285. Jest to muzyka nacechowana pogodą,
jasnością i lekkością brzmienia. W interpretacji
młodego muzyka najwyżej klasycznego umiaru
dało się odczuć w części drugiej — Adagio non
troppo. Na szczególne uznanie zasługiwało gła-
chetne, subtelne brzmienie instrumentu solowego.
W orkiestrze zaś najcieplej brzmiały smyczki. W
częściach skrajnych oboista wykazał się wirtuo-
zérią i swobodą.

Jedynym mankamentem było chropawe brzmie-
nie waltorni w refrenie finałowego ronda — Al-
legretto. Za to porywająca aria zaprezentowana
przez Wojciecha Grzelaka, aria Figara z opery
„Cyryl i Seweryn” Gioacchino Rossiniego.

Ostatnim utworem był grany przez Renatę Pel-
kant Koncert fortepianowy a-moll Roberta Schu-
manna. Jak przystało na typowego romantyka
utwór nasycony jest głębokim liryzmem. Arty-
styczna wiza młodej pianistki była najbardziej
przekonywającą w delikatnym dialogu z orkiestrą
części drugiej — Andante grazioso.

Młodym muzykom wypada życzyć dalszego roz-
woju ich talentów i sukcesów artystycznych.

PIOTR KUKIEŁKA

PESTKI DYNII

Wańkowicz stworzył „legendę koldunów”. Pi-
sał i mówił o nich z ogromnym sercem i... sma-
kiem.

A może odwrotnie?!

Kpiarz Zaruba miał o Wańkowiczu kiedyś po-
wiedzieć: — Toż to istny Paganini koldunów!
Przepis na kolduna znaleźć można w każdej
nieomal książce kucharskiej, nawet w takich dla
biwakowiczów; kto czytał jeszcze nie zapominał
— se przeczyta. Zrobić prawdziwego kolduna bar-
dzo niewiele — niewielu jeszcze potrafi. Należa-
łoby ich wylapać i poddać hibernacji czyli zamro-
żeniu, żeby mieć z czym wejść w rok 2000. I
jeszcze wypaść tych od prawdziwego bigosu.
Niech choć literackie kolduny i kresowy bigos za
nami świadcza.

Taki był u nas ostatnimi czasy koktail wyda-
rzeniowy, że przeczytałem rzecz niezwykle ważną,
w każdym razie dla mnie ważną — pojawienie
się pierwszych, młodych ziemniaczków — posypa-
nych koperkiem, pachnących, niewinnych... Je-
dyną satysfakcją mam w tym, że pierwszego bobu
nie przegapiłem; gdyby nie bob, który sobie
na pociechę pojadłem, nie przetrzymałbym chy-
ba i dwóch godzin pierwszych senatorskich deli-
beracji.

Mój znajomy, zdegenerowany optymista —
mógł w ciągu ostatnich 8 lat sto razy wy-
jechać z kraju na zawaze, nie u nikogo na ho-
norze nie tracąc, bo jako profesor do babci, któ-
ra prowadzi Uniwersytet dla Eskimosów i alas-
kańskiej polonii? — powiada, że on tam w
Senacie dotrą, przetrzą się i wytrą i będą wspa-
niali i mądry.

Inny mój znajomy, zdegenerowany pesymista
z kolei — sto razy odmawiano mu paszportu, bo
uprawiał i uprawia nadal malarstwo bałasty-
czne, także współczesne i odmawiał wszystkie na-
sze czelgi, armaty, samoloty, łodzie podwodne,
pejzaże poligonów i niektóre żony oficerów, a
zatem sporą część naszych tajemnic wojsko-
wych? — uważa, że już w tej chwili spora
liczba senatorów jest wspaniała, chociażby z racji
swojego wieku, a i mądrości im nie zbywa, jeno
może się okazać, że jest to mądrość dla siebie,
nie dla narodu; taka sztuka dla sztuki! Skłonny
jestem podzielać opinię raczej malarza tajemnic,
wojskowych — acz nie robię tego z radością czy
satysfakcją. Boję się też, aby nasz Senat nie prze-
różdził się w swolistę kabaretu literackiego, bo wtedy
musiałbym bob zamienić na koniak lub szam-
pana — a to cholernie ostatnio kosztuje.

A co do tych ziemniaczków — niewiniątek, to
skłamałem. Już dawno przestały mnie obchodzić.
Bo jakie tu jest — jest bez prawdziwego
kwaśnego mleka, z koperkiem diabli wiedzą czym
pryskany i na jakiej chemii wyrósł? Zgroza
i boska obraza. Należałoby do tych szczęśliwców — a
może nieszczęśliwców? — którzy mieli okazję
spróbować prawdziwego mleka i masła, prawdzi-
wego białego sera z prawdziwą śmietaną i nie-
trującym szczyptkiem, prawdziwego chleba,
który pachniał, gdy się go wyjmował z pieca
i jeszcze długo, długo potem gdy odwijano go z
innej chusty. Tak, właśnie pachniał! Ilek ich
wtedy było... Przechowyuję je wszystkie w pamię-
ci zmysłów, jak skarby najwęższe. A może u-
wierają mnie one, jak stary wróżd na dupie, któ-
ry nie pozwalał mi siedzieć wygodnie w żadnym
fotelu i nadal doskwiera? Nie wiem.

Wiem natomiast, że pamiętam zapach chleba,
świeżego masła, kopru, młodych ogórków i mło-
du, którym się je smarowało obficie, aż ściekał
po brodzie i palcach, jabłek przechowywanych w
sianie, lasu... wielu, wielu innych rzeczy. Także
wielu smaków, jak chociażby smak kwaśnego
mleka w glinianej misce, podawanego właśnie do
owych młodych ziemniaczków okraszonych ma-
selem, posypanych koperkiem też młodziutkim, do-
piaro co zerwanym, które krążyło się żyłką.

Trwa spór o Nową Polskę, jaka ma być? Każdy
tu ma swoje zdanie i wymagania. Jednym pach-
nie ona hamburgerami i frytkami, innym —
komputerami, jeszcze innym — świeżką i ka-
dzidkami. Mnie, moja Polska pachniała i pachnie
lasem, chlebem, jabłkami, ogórkami z miodem...
Ale to w duszy, w pamięci. W rzeczywistości
śmierdzi mi i cuchnie czym się da: od nieumy-
tych, po siarkę i inne świństwa... Ciekaw jestem
czym pachnie ona, ta obecna i ta przyszła, senato-
rom i nowo wybranym posłom? A może to zno-
wuz tajemnica państwowa?

ANDRZEJ GRUN

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata



DZIEJE TEATRÓW

Po raz pierwszy zostały kom-
pleksowo opracowane przez
Krystynę Szczepaniak z Muzeum
Historycznego m. Krakowa dzie-
je teatrów konspiracyjnych w
tym mieście. W czasie okupacji
działały tu: Krakowski Teatr
Podziemny, Teatr Słowa, zwa-
ny Teatrem Rapsodycznym,
Teatr Niezależny Tadeusza Kan-
tora, Teatr Jednoaktówek Wie-
sława Góreckiego oraz Zespół
Wiktor Sadeckiego.

Latem 1941 r. zorganizował
się nowy zespół, Teatr Rapsod-
yczny pod kierunkiem Mieczys-
ława Kotlarczyka, który 22
sierpnia sformułował program
teatru: „powinniśmy przywrócić
narodowi zapomniane skarby
jego własnej muzyki. Przedmio-
tem naszych wieców powinny
stać się rzeczy dotąd niezre-

alizowane. Trzeba tylko wejść
zaraz na tę drogę, nową, inną,
trudną, ale za to na pewno o-
wocną. Musimy wypracować i
wykształcić słowo, żeby z
nim pójść, kiedy chwila nadej-
dzie, do mas głodnych tego sło-
wa”. Działalność teatru zainau-
gurowano przedstawieniem „Król
Duch” Słowackiego, później za-
prezentowano „Beniolę”
„Hymn” Kasprowicza, wieczer
norwiderski, wieczer Wyspiań-
skiego i wreszcie „Pana Tadeu-
sza” Mickiewicza. Do zespołu
należeli: Mieczysław Kotlarczyk,
Halina Królkiewicz (obecnie
Kwiatkowska), Danuta Micha-
łowska, Krystyna Dębowska-O-
staszewska, późniejszy papież —
Karol Wojtyła i plastyk Ta-
deusz Ostaszewski. Teatr miał
największą liczbę premier i
ilość spektakli (25 przedstawień),
kontynuował swoją działalność
po wojnie przez 20 lat, jako je-
dyny z zespołów konspiracyj-
nych, który stał się teatrem za-
wodowym.

ZAROBIĆ ŻEBY DOŁOŻYĆ

W ub.r. Wydawnictwo Lubel-
skie przekazało z własnego zy-
sku ok. 10 mln zł. na dofinanso-
wanie książek wartościowych,

ale' nierentownych ze względu
na wąski krąg ich odbiorców.
W br. suma ta będzie jeszcze
większa. Zdobyć ją można tylko
dzięki pozycjom, które rozejdą
się szybko przynajmniej w 50-
tys. nakładach. Z pewnością
należałoby do nich książka
Cezarego Leżeńskiego „Kwiera
139. Opowieść o marszałku Ry-
dzu-Smigłym”, której fragmen-
ty drukowaliśmy na naszych ja-
mach. Autor przypomina w niej
postać bliskiego współpracowni-
ka Józefa Piłsudskiego podając
wiele nowych, bądź mało zna-
nych szczegółów z jego życia
prywatnego oraz działalności
niepodległościowej i państwowej.
Przebieg rynku mogą stać się
także „Trzy lata wykreślo-
ne z życiorysu” Jana Dzedu-
szczyckiego; książka ta po raz
pierwszy ukazała się 3 lata te-
mu w Paryżu i przedstawia
wspomnienia jednego z kilku-
nastu tysięcy Polaków internow-
anych przez organa NKWD w
latach 1944—1945.

SUROWE OCENY

Poprzedzony szerokim rozgło-
sem prezentowany w jednym z
madryckich kin film „Zabić
księdza” Agnieszki Holland —
pisze korespondent PAP, Ry-

szard Ginalski — sądząc po do-
tychczasowych recenzjach nie
stał się wydarzeniem artystycz-
nym i jeśli przyciąga widzów,
to tylko z przyczyn politycznych.

Najsurowiej ocenił film kry-
tyk poważnego „El País” pisząc
m.in., że „dysponując tak świet-
nym materiałem scenariuszo-
wym realizatorzy zrobili mien-
ny film... mieli do wyboru, albo
tradycyjny film policyjny, albo
dreszczowiec polityczny, ale za-
brakło im wigoru i inteligencji...
odnosi się wrażenie, że wszyscy
aktorzy z głównym bohaterem
Christopherem Lambertem na
czele nie wierzą w osoby, które
reprezentują. Opowiedziane wy-
darzenia, choć prawdziwe —
wydają się nierealne. Zawiodła
podstawowa w kinie wiarygod-
ność psychologiczna bohaterów.
Wszystko to sprawia, że film
jest tylko pustą w środku sko-
rupką”.

WIELKI NAUCZYCIEL

„Na ekranie — tak jak w ca-
łej propagandzie — Stalin był
genialnym i dalekowszycym
wzorem, ideałem „ludzkiego”
przewodnicę — pisze Edward Pa-
wiak, „Film” nr 28. — Bez-
względnie rozprawiał się z wro-
gami, ale był również człowie-

Pięć polskich czołgów

WŁODZIMIERZ SKOCZYŁAS

(2)

Wyszliśmy za miasto. Nowo budowana droga przecinała las. Z boku stał autobus, wokół którego jacyś mężczyźni, kręcili się niezdeterminowanie. Podeszliśmy do nich myśląc, że spotkamy pana Czerniewskiego. Na autobusie widniał napis: „Magistrat Miasta Inowrocławia”.

— Panowie do Warszawy? — zapytał ojciec. — Tak. Ale nie wiemy, które mamy jechać. Droga na Mszczonów odcięta.

— Proszę, oto moja legitymacja — powiedział ojciec, wręczając jednemu z nich legitymację pracownika oddziału drogowego Zarządu Miasta Łodzi. — Znam doskonale tę drogę. Jeśli nas zabierze, będę was pilotować.

Wsiadłem do autobusu i przycupnałem na podłodze. Ruszyliśmy. Jakaś kobieta poczęstowała mnie soczystą gruszką.

Obudziła mnie głośna rozmowa. Autobus stał wśród lasów, a przed jego maską dojrzałem grupkę oficerów i żołnierzy w stalowych mundurach lotniczych. Bez pardonu zaczęli wyrzucać nas z wnętrza wozu.

— Bardzo mi przykro — informował jeden z lotników — potrzebny nam autobus. Musimy jak najszybciej dostać się do jednostki. Widzicie, co się dzieje. Nasze miejsce jest tam, w górze. A na wasze bagaże zostawiamy wóz i konie. Proszę wysiadać.

Lotnicy załadowali do autobusu kilkanaście opon i bezzwłocznie odjechali. Pasażerowie chwycili bagaże i zniknęli między drzewami. Zostaliśmy sami. Na małej polance stał solidny wóz zaprzęgnięty w dwa konie, które spokojnie skubały soczystą trawę zarastającą przydrożny rów.

— Siadamy! — zakomenderował ojciec.

Razno wskoczyłem na wóz, ciesząc się z nowej przygody. Ojciec szarpnął za lejce, ale konie nie drgnęły. Nie pomogły kilkakrotnie powtórzone próby.

Z lasu wyszedł po wiejsku ubrany chłopak. W ręku niósł małe zawiniątko. Zatrzymał się przed nami i z dezaprobatą pokłuszył głową, gdy ojciec próbował zmusić konie do ruszenia z miejsca. Chłopak znalazł się na koniach. Szybko doszliśmy do porozumienia. Ruszyliśmy po bocznej drodze. Wygodnie oparłem się o burtę wozu i pograżyłem w leniwej drzemce. Zbudził mnie potężny ryk motoroweru. Po zaronie polu, w stronę Żyrardowa gnało pięć polskich czołgów. Ogarnął mnie szalony entuzjazm. A więc nie wszystko jeszcze stracone. Oto na własne oczy widzę bojowy oddział polskiego wojska. Jeden z czołgistów odpowiedział na moje pozdrowienie. Zniknęli w kłębach kurzu. Poczuliśmy się bezpieczni.

— Musimy odpocząć, wyprząć konie z wozu i napić — zarządził ojciec. — Teraz nic nam nie grozi. Oslaniamy nas czołgiści.

Zjechaliśmy nad pobliski strumień i zaszyliśmy się w gęstych zaroślach nad brzegiem.

Leżąc wpatrzony w pogodne niebo, na którym nie widziałem samolotów. Byłem już na krawędzi snu, gdy usłyszałem narastający warok. Zerwałem się na równe nogi. Zza zakrętu drogi wyskoczyły czołgi i gnały w kierunku Warszawy. Te same, które przed godziną pozdrawiałem tak entuzjastycznie. W płochu zaprzęgałem konie do wozu niechętnie. Za wielkim masywem zieleni widać było kolejową wieżę ciśnień. Znajdowaliśmy się w pobliżu stacji Grodzisk Mazowiecki. Nad wieżą pojawił się samolot. Powietrzem targnął huk. Skoczyłem z wozu w kartoflik i całym ciałem przylgnąłem do ziemi. Ostrożnie obróciłem się na plecy. Na tle nieba zobaczyłem ulatujące w górę płonące papiry. Tuż za nimi wyloniła się sylwetka drugiego samolotu. Lecił bardzo nisko. Coś boleśnie ugodziło mnie w prawą łydke. Krzyknąłem.

— Co się stało? — zaniepokoił się ojciec.

— Trafili mnie w prawą nogę.

Ojciec podczołgał się do mnie.

— Nic nie widzę.

Usiadłem zdziwiony. Rzeczywiście, nie było żadnego śladu krwi. Na ziemi leżał krótki, stalowy pocisk. Widocznie odbił się o gałąź i bokiem uderzył mnie w łydke. Ściągnąłem skarpetkę. Noga puchła gwałtownie i siniała. Z trudem wdrapałem się na wóz.

Gdy wjechaliśmy w pierwsze zabudowania Milanówka, spadła nam obręcz z tylnego koła, uniemożliwiając dalszą jazdę. Zapukałem do drzwi najbliższego domu. Starsza kobieta chciała nam pomóc z całego serca. Przyniosła miotek i gwoździe.

— Takimi nie poradzi — mruknął lekceważąco nasz woźnica.

— Trza ściągać koło i razem z obręczą na godzinę wsadzić do wozu.

Utykałem lekko i mimo woli opóźniałem marsz, jednak ojciec nie przynaglał mnie. Znaleźliśmy się w Gołąbkach. Niezdeterminowani stanęliśmy na środku krzyżujących się uliczek osiedla. Na jednym z domków stała grupka mężczyzn i żywo dyskutowała, zauważyłem tabliczkę z napisem „Sołtys”. Podeszliśmy.

— Chciałem rozmawiać z sołtysiem — zwrócił się do mężczyzn ojciec.

— Ja jestem sołtysiem.

— Proszę, tu jest moja legitymacja. Idziemy z Łodzi. Nie śpiemy już drugą noc. Mój chłopak pada ze zmęczenia. Prosimy o przydzielenie nam noclegu.

Sołtys zaprowadził nas kilka uliczek dalej. Przed furtką obszernej wille stały dwie starsze panie.

— Pani Niedzielska, przyprowadziłem pani gości. Proszę, żeby ich pani przenocowała. Tylko na jedną noc. Ten pan jest inżynierem i pracuje w łódzkim magistracie, nazywa się Skoczyłas, a ten młodzieńek to jego syn.

Pani Niedzielska obrzuciła nas baczny spojrzeniem.

— Proszę. — Uśmiechnęła się i zapraszającym gestem uchyliła furtkę.

Przy kolacji zwierzyła się, że nie miała ochoty nas przyjmować.

— Bo wiecie, panowie, w tym strasznym galimatiasie nie wiadomo, kogo się wpuszcza pod dach. Ale kiedy usłyszałam nazwisko Skoczyłas, pomyślałam, że może Władysław Skoczyłas to pański krewny.

— Tak, to był mój stryjeczny brat, grafik. Umarł w 1934.

— Znam go dobrze. Ja też jestem malarką. Dużo mu zawdzięczam. Cieszę się, że mogę pomóc jego bliskim.

Do Warszawy wchodziliśmy od strony Woli. Pod wiaduktem kolejowym z wielkim trudem przeciskały się furmanki przemieszane z pieszymi. Wzdłuż całej ulicy, z biednych podmiejskich domków, ludzie samorzutnie wystawili stoły, na których leżały pajdy chleba ze smalcem, z cebulą lub kiebasą. Obok stały wielkie gary ze smakowicie pachnącą, zbożową kawą.

— Panie inżynierze! Panie inżynierze!

Razem z ojcem spojrzeliśmy w tę stronę. Jakaś dziewczyna machała do nas ręką. To była Józia. Służąca z restauracji stryjskiej Łódki. Ucieszyło nas to spotkanie. Józia napała nas gorącą kawą i nakarmiła chlebem z kiebasą. Przejornie schowałem kilka kromek do torby. Pożegnaliśmy się serdecznie i ruszyliśmy dalej.

Na skraju chodnika leżały zwłoki dwóch mężczyzn. Twarze mieli przykryte gazetami, przyciśniętymi po bokach kawałkami cegieł. Ludzie obojętnie mijali martwych, jakby to był widok codzienny. Na mnie sprawiło to przynębiające wrażenie.

C.D.N.



Lazar Kaganowicz

Czy Józef Stalin był antysemitą?

(1)

Dwie fale

RYSZARD BADOWSKI

„Odgłosy” nr 25 przytoczył w przeglądzie prasy wspomnienia Konstantego Simonowa w miesięczniku „Literatura Radziecka”, z których wynika, że Józef Stalin nie darzył sympatią Żydów radzieckich. „Niektórzy mówili, że Stalin nie lubi Żydów, bo pochodzenia żydowskiego byli czołowi opozycjoniści: Trocki, Zinowiew, Kamieniew”.

W marcu 1952 roku Konstantego Simonowa zaskoczyła pełna irytacji tyrada Józefa Stalina przeciwko antysemityzmowi, który miało pobudzać ujawnienie podwójnych nazwisk literatów, kandydujących do Nagród Stalinowskich. Konstantemu Simonowowi wydało się, że Józef Stalin mówi nieszczerze, odgrywając spektakl „łapaj żydów”. Chciał w ten sposób oszukać inteligentów, niezadowolonych z przejawów antysemityzmu w społeczeństwie radzieckim. Tyle sprawa zasygnalizowana przez „Odgłosy”. Pozwól sobie rozwinąć ten temat.

Pierwsza fala antysemityzmu

Inspirowanego przez Józefa Stalina przetoczyła się przez Związek Radziecki w 1948 roku. Rozpędzono wówczas utworzony w czasie wojny Żydowski Komitet Antyfaszystowski. Dużą grupę osób, biorących udział w jego pracach, oskarżono o działalność antypaństwową i szpiegowską.

W marcu 1952 roku Józef Stalin niewątpliwie udawał, że ktoś inny zainteresowany jest w nagonce na Żydów. Jego uwaga na posiedzeniu Biura Politycznego KC KPZR, aby nie ujawniać żydowskich nazwisk niektórych pisarzy, a jedynie podać w komunikacie o Nagrodach Stalinowskich ich rosyjskie pseudonimy literackie, brzmiała obłudnie. Mogła tylko spotęgować nastroje antyżydowskie w aparacie partyjnym.

W lipcu 1952 roku członków kierownictwa Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego skazano na najwyższy wymiar kary lub dożywotnie więzienie. 12 sierpnia rozstrzelany został przewodniczący komitetu Salomon Łozowski, dawny współpracownik Włodzimierza Leni-

na, członek partii od 1901 roku, który przedtem piastował wiele odpowiedzialnych funkcji państwowych i partyjnych. Przed wojną był sekretarzem generalnym Profinternu (Międzynarodówki Związków Zawodowych), podczas wojny dyrektorem Sowinformbiuro (poprzednik TASS), a zarazem wiceministrem spraw zagranicznych.

Jedną z działaczek Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego była Polina Zenczużyna, żona Władysława Mołotowa. Twardy Mołotow, człowiek z najbliższego kręgu współpracowników Józefa Stalina, bez szemrania pogodził się z określeniem swej towarzyski życia jako „wroga ludu”. W szkicu o Władysławie Mołotowie, wydrukowanym w 1988 roku w piśmie „Literaturnaja Gazeta”, Władimir Amilinski pisze:

„Co się działo w jego duszy nie wiadomo. Na pewno cierpiał i przeżywał mękę, ale strach był silniejszy niż cierpienie”.

Polina Zenczużyna wróciła z zesłania po śmierci Józefa Stalina.

Członków Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego uznano za bezpodstawnie oskarżonych w 1955 roku, w wyniku rewizji wniesionej przez prokuratora generalnego ZSRR. Decyzję o ich rehabilitacji sądowej i partyjnej opublikowano jednak dopiero w styczniu 1989 roku.

Druga fala antysemityzmu

nadeszła wkrótce po rozprawie z Żydowskim Komitetem Antyfaszystowskim. Wywołała ją tzw. sprawa lekarzy-morderców.

Wybitni specjaliści ze Szpitala Kremłowskiego, którzy leczili 73-letniego Józefa Stalina, rzekomo mieli zamiar usmiercić „Ojca Narodów”. Większość z postawionych w stan oskarżenia stanowili Żydzi, a historię przeciwko nim rozpętała chyba niezrównoważona psychicznie lekarka-Rosjanka, która za przejawioną czujność otrzymała wysokie odznaczenie państwowe.

Za kulami sprawy „lekarzy-morderców” stał Ławrientij

Beria, który umacniał swoje pozycje w przededniu przyszłej walki o władzę o Józefie Stalinie. Lekarzy-Żydów nie zdążono skazać. Wypuszczono ich po śmierci Józefa Stalina, która nastąpiła 5 marca 1953 roku.

Wśród Żydów w kierownictwie partii byli nie tylko opoznenci Stalina — Lew Trocki (Bronstein), Lew Kamieniew (Rosenfeld), Grigorij Zinowiew (Radomyński) czy też pochodzący z Polski Karol Radek (Sobelson), ale także „jego ludzie”, wśród nich przede wszystkim Łazar Kaganowicz.

Łazar Kaganowicz, urodzony na Ukrainie, za czasów carskich działał w nielegalnym związku zawodowym szewców, zaczął robić oszołamiącą karierę po wybraniu Józefa Stalina w kwietniu 1922 roku na sekretarza generalnego RKP(b). Stalin znał go z Frontu Południowego, dokąd w 1919 roku obydwu skierowała partia w czasie ofensywy gen. Antona Denikina na Woroneż. W czerwcu 1922 roku powierzył mu kierowanie wydziałem organizacyjnym KC RKP(b). W 1923 roku Łazar Kaganowicz zostaje zastępcą członka, a w 1924 roku członkiem Komitetu Centralnego i sekretarzem KC RKP(b). W 1926 roku jest już kandydatem Biura Politycznego, a w 1930 — członkiem Politbiura. W tym samym roku staje na czele moskiewskiej organizacji partyjnej. Jest ślepo oddany Stalinowi.

Znany radziecki historyk Roj Miedwiediew przypominał niedawno, że przez jakiś czas Łazar Kaganowicz był człowiekiem nr 2 w kierownictwie partii. W latach 1932—34 depesze z terenu z meldunkami o sukcesach adresowano: „Moskwa. Do tow. Stalina i tow. Kaganowicza”. Imię Kaganowicza nosiło moskiewskie metro. Wioskę Kabany w obwodzie kijowskim, gdzie się urodził, przemianowano na Kaganowicz i uczyniono miastem powiatowym. Również powiat nazwano jego imieniem. Nazwę Kaganowicz nadano w 1935 roku miastu Tiernowsk w obwodzie moskiewskim, wiosce Nowo-Troickoje w Kirgizji, osadzie miejskiej w obwodzie tatarskim, osiedlu kolejowemu w obwodzie czytyńskim na trasie Magistrał Transsyberyjskiej. Istniał też kiosk Kaganowiczabad w Tadżykistanie i powiat Kaganowicz w Turkmenii.

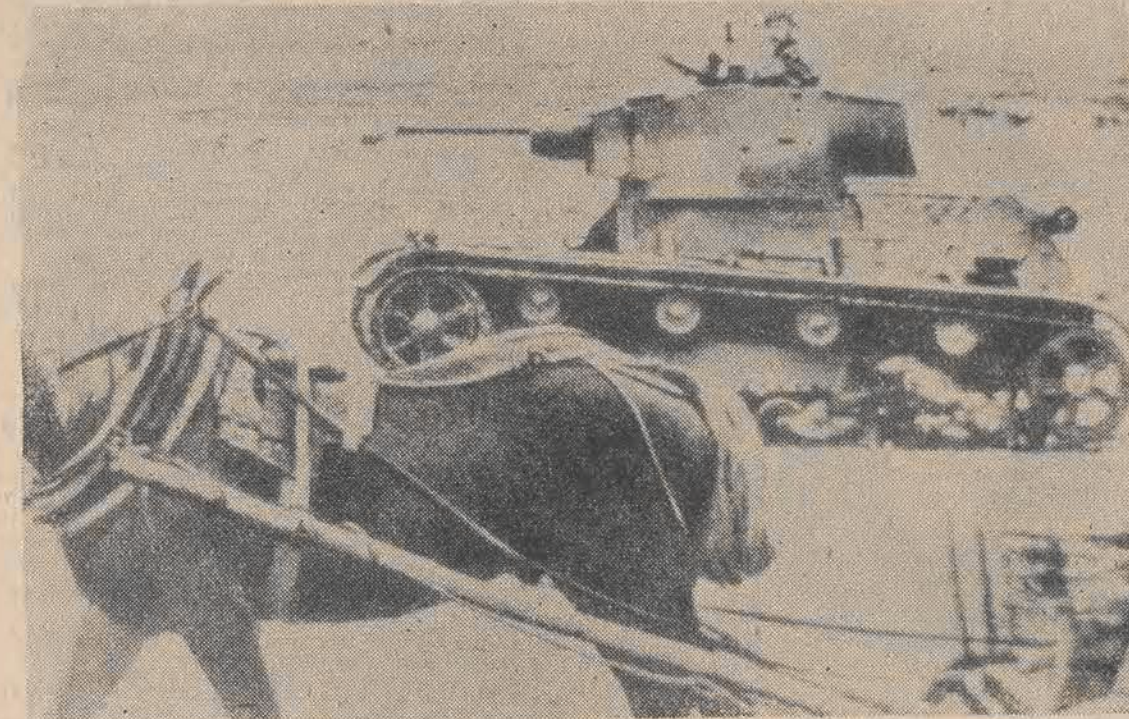
W latach 1935—44 Łazar Kaganowicz był komisarzem ludowym kolejnictwa, a równolegle od 1937 roku komisarzem (ministrem) przemysłu ciężkiego, zaś od 1939 roku — także paliwowego. Był też przez rok ludowym komisarzem przemysłu naftowego, a od 1938 do wszystkich tych godności, dających ogromną władzę, dołączył stanowisko wiceprzewodniczącego Rady Gospodarki Narodowej.

W czasie wojny został członkiem Państwowego Komitetu Obrony, na cz. z którego stał Józef Stalin. Był także członkiem Rad Wojskowych Frontu Północnokaukaskiego i Zakaukaskiego. Po wojnie i sekretarzem KC KP Ukrainy, następnie wicepremierem ZSRR. Wszystko to nie przeszkodziło Józefowi Stalinowi w aresztowaniu braci Łazara Kaganowicza. Jeden został rozstrzelany jako „wrogi ludu”. Drugi popełnił samobójstwo.

Pod koniec życia Józef Stalin

przekonany przez Ławrientija Berię, że Żydzi przygotowują przeciwko niemu spisek, odsunął Łazara Kaganowicza na boczny tor. Nikita Chruszczow wspomina, że Łazar Kaganowicz coraz rzadziej zapraszany był na spotkania u Józefa Stalina. Według niego Ławrientij Beria „nie tylko nie ufał Kaganowiczowi, ale nienawidził go z całą pasją”. Przez ponad trzydzieści lat działał jednak w najbliższym otoczeniu Sekretarza Generalnego. Niektórzy zachodni kremlinolodzy tłumaczą to romansem między jego siostrą Rożą a Stalinem.

C.D.N.



— Moment.

Weszła do łazienki. Awantura przed śniadaniem! Siegnął po papierosa. Ferie są do jasnej cholery, więc mogłaby zostawić temat na później. Myśl o powrocie do szkoły napawała go wstrętem. Znowu te przekleństwa piskliwych profesorów i piski prymusów z wystrzelonymi w górę palcami. On też działał w określonym kierunku i zdobył to, czego pragnął! Nie jest maszynką; jak będzie musiał, zrobi następny skok!

Cała sprawa polega na tym, żeby zacząć, a potem sperfektować prostytucję, która wzięła po raz pierwszy pieniądze, sperfektowany przestępca i złodziej osławiają się z faktem i wykonują swój nieczyny proceder radośnie. Nie miał nic przeciwko temu, aby iść na robotę, jeśli zaistnieje taka potrzeba, tymczasem jednak nie było takiej potrzeby. Patrzył niechętnie na Gejszę — święta! Kazania, morały, jakby wypuścili ją wczoraj z klasztoru Karmelitek Bosych. Zbrzydła w ciągu ostatnich dni, zmierzniała i zbladła, schudła, pod oczami wykwitły cienie. A przecież wiedział, że jest bezgranicznie zakochany, że coraz bardziej pożąda tego wspaniałego, bujnego ciała i przyzwyczajają się coraz bardziej do obcowania z dziewczyną. Gdyby naprawdę odeszła, gdyby mu ją zabrali, zwirowałaby chyba lub popełnił samobójstwo.

— Przysięgasz? — Nie wróciła do łóżka; przysiadła na taborecie i śledziła bacznie jego twarz. — Możesz mi to przysiąc, Jacku?

— Że pójdę po wakacjach do szkoły?

— Tak?

— Zgoda. — Rozpostarł ręce. — Nie dręcz mnie dłużej; chodź!

— Nie teraz.

— A kiedy?

— Jak skończymy rozmowę. — Obciągnęła na krągły, opalonych kolanach polski szlafrok. — Latwo przysięga ci ta zgoda, Jacku.

— Czego ty jeszcze chcesz?

— Chcę ci uwierzyć.

— No więc uwierz mi, do diabła!

— Nie potrafię, Martwisz mnie.

— Nigdy bym cię nie posadził o tak kosztowny stosunek do życia.

— Zmieniałam się, odkąd cię poznałam, a prawdę mówiąc: odkąd pomyślałam, że...

— Co?

— Nieważne.

— Dlaczego nie kończysz zdania?

— Ono samo się skończy.

— Przerażasz mnie, Basiu.

— Owszem; sama jestem przerażona.

— Czym?

— Nie wiem. Twoim zachowaniem chyba.

— A co ja niby takiego zrobiłem?

— Nic. O to właśnie chodzi, że nic, a przecież... mógłbyś się zwierzyć.

— Z czego?

— Z tego, co ci leży na wprost.

Domyśla się! Trwoga kółkała do serca. Bernard miał rację. Ten drań zawsze ma rację! Dźwięczały mu w uszach braterskie słowa: „Nie ma nic gorszego od kobiety z instynktem; kobieta z instynktem wie, że ją zdradzi, nim się jeszcze na to zdecydujesz; wie, że byłeś samotnie w kinie, że tykałeś z boku parę złotych, że wypiles kielicha z kolega, do którego ona czuje akurat odrazę. Strzeż się kobiet, chłopaku, bo zawisniesz!”

Lepiej już gadać o szkole!

— Skąd mogę wiedzieć, czy w ogóle wrócimy z Meksyku, a ty szkoła i szkoła!

Dziewczyna milczała. Zerknęła na seledynowy stolik przy łóżku, po czym utkwiła wzrok w jakimś nieokreślonym punkcie za oknem. Klarneista zawodził bluesa; płakało dziecko, ćwierkały wróble, gruchały gołębie; słońce chlapało beztrąsko na parapet, wiatr targał firanką u sufitu.

— Czemu nie nie mówisz?

— Boję się.

— Bzdury! Pojedźmy do Meksyku i będzie cudownie.

— Nie sądzę, abyśmy pojechali do Meksyku.

— Kraczysz!

— Oby!

— Nie deklamuj tylko Szekspira — Wylamał palec; stawy strzelały jak przebiecia w

Andrzej Makowiecki

Pięćdziesiąt melonów

30



Rys. Janusz Szymański-Glanc

instalacji elektrycznej. — Twój następnik jest zaraźliwy.

— Twój też.

Może palnąłem coś przez sen? Może ona na początku okresu? — Szukał gorączkowo ukojenia:

— Daj się napić.

— Zaraz zrobię śniadanie.

— Nie! Nie! Nie! Nie! Nie!

— Nie? — Spojrzył na nią rozszerzonymi oczami.

— W żadnym wypadku! To jest kolejna sprawa, o której muszę z tobą porozmawiać, Jacku. Rozpedzasz się! Mężczyzna nie powinien pić przed obiadem, a ty zaczynasz już rano, na czczo, do papierosa. Gdybym wiedziała, że whiskey tak ci zaszkodzi, trzymałabym ją od ciebie z daleka.

— Żałujesz?

— Jasne. Kto by nie żałował drogiego dewizowego scotch'a? — Przyniosła z pokoju butelkę Ballantine i wylała zawartość do wazonu z różami. — Kwiaty mogą być pijane do rana.

— Po co te demonstracje?

— Wstań!

— Odwróć się.

— Widziałam cię już bez ubrania.

— Odwróć się! — powtórzył.

Wyskoczył z łóżka — wysoki, zgrabny, piękny jak bożek, o różowym, nieopalonym ciele, z którego mimo wszystko bila uroda i zdrowie, o podniesionym dorodnym, niezaspokojonym seksie, który zawstydył go i peszył, a ją, patrzącą w ścianę, świadomą jednak i czujną, przejmował ciepłem i wzruszał, i kiedy zniknął w łazience, pomyślała, że coraz bardziej go kocha i że coraz trudniej przyjdzie jej bez niego żyć.

Wzdrygnęła się na dźwięk telefonu.

— Taaak?

— James przy aparacie.

— Witaj!

— Przytłuję do Polski w końcu czerwca. Nic się nie zmieniło?

— Mówiłam ci już, że wszystko się zmieniło.

— Ale ja się chciałem dowiedzieć, czy nie zmieniło się nic w drugą stronę?

Jej milczenie trwało o ułamek sekundy dłużej niżby tego wymagała sytuacja i podporządkowany rygorom sytuacji tok dialogu.

— Nie gniewaj się, James. Jestem zakochana. Jestem bez nadziei, nie pograżona.

— Przejdźcie ci.

— Nie sądzę. Nie dzwonił wiecej, James, i nie pokazuj się w Łodzi.

— Nie zadzwonię — przyrzekł Szkot.

— Dziękuję.

— Ale będę u ciebie niedługo!

Nie zdążyła zaprosić do siebie, bo tym razem Brytyjczyk odłożył pierwszy słuchawkę. Podała Jackowi w kuchni sadzone jajka, sok pomarańczowy i kawę. Nie pytał, z kim rozmawiała; nie napraszał się o alkohol, co zrobiłby każdy inny podochocący mężczyzna; nie próbował wciągnąć jej z powrotem do łóżka, więc zatrzymała się nagie.

— Nie opuścisz mnie, Wietrzyku?

— Zartujesz!

— I przyjdiesz wieczorem?

— No a gdzie miałbym iść?

— powiedział! — Przecież moje miejsce jest przy tobie.

17.

— Polej, Nardus, było nie było!

Bernard próbował otworzyć butelkę żytniej, ale nakrętka obracała się wokół gwintu. Podważył ją nożem i zerwał; pięknie błaska skaleczyła go w palec. Zessał krew i napisał żonie stugramowy kieliszek.

— A ty?

— Boli mnie brzuch.

— Kropniez sobie jednego, to ci przejdzie.

— Nie przejdzie.

Wypiła w wprawę, chuchnęła i zagryzła gryzkiem; nalał jej znowu.

— Włącz telewizor!

— Włączył, ale było już za późno — program w dwójce skończył się bezpowrotnie; jedynka nadawała lekce języka angielskiego.

— Belkocą jak głupki. Wyłącz!

Włączył. Ptaszyna uporała się z następnym kieliszkiem i poprosiła o dolewke.

— Dobrze nam ze sobą, Nardus, tak czy nie?!

— Bardzo dobrze, Haneczko! Znaleźliśmy wreszcie wspólny język i chociaż nie mamy dzieci, łączą nas głębokie i silne uczucie.

— Sprawiedliwie mówisz — rzekło ptaszę i poczerwieniało z uciechy. — Wiesz, co sobie kombinuję?

— Nie wiem, Haneczko.

— Ze brzuch boli cię od żarcia w knajpach. — Wypiła, pokrzepiła się gryzkiem i oświadczyła wielkodusznie. — Zrobię jutro obiad w domu.

— Jajka, jeśli wolno spytać?

— Tfu! Kupię konserwę i ugotuję ziemniaki.

— Ale kto je oberze?

— Ty.

— Nie umiem.

— To się nauczysz.

Bernard zadbał, aby kieliszek Haneczki nie zionął ani chwili pustką.

— Lubie, kiedy jesteś serdeczna i miła... pij, pij, nie oglądaj się na mnie.

— Najlepszego! Nie ma to tamto, tamtego — mruczał babzyl i bełkotał niewyraźnie, choć utrzymywał jeszcze kontakt z rzeczywistością. — Pokochamy się, Nardus?

— Oczywiście.

— Chodź!

— Zaczekaj, nie żałuj sobie dzisiaj! Uwielbiam robić to z tobą, jak wypijesz.

— Mroczy mnie już trochę.

— Nie widać.

— No to bęc!

— Bach! I jeszcze jednego! — przygotował żonusi kieliszek z meniskiem wypukłym.

— Uuu, nie wydeję, Nardus. Za dużo, za dużo — protestowała.

— Leć na dwa razy.

— Nie ma czym nawet zakropić.

— Jak to nie?! Momencik!

Przyniósł z lodówki lemoniadę. W pięć minut później rzucił ją z butami na łóżko — zagniebaną, rozczochraną jak czarownica. Walczyła ze snem: dwukrotnie otworzyła szkliste oczy i wybelkotała serię słów w baluickiej gwarze, której nauczyła się od rodziców w młodości. Kiedy zachrapała, wyszedł, zjechał windą na parter i wszedł w samochód. Panikował. Dolar na krajowym rynku drożał z każdym dniem; tygodniowa ukryta w ustępie fortuna. Trzeba czym prędzej pozbyć się zrabowanych złotych — znikną wówczas ostatnie ślady krwawego przestępstwa. Ale co z ojcem, do cholery?! Co z ojcem?! Nie przysłał dotąd zaproszeń, nie dał w ogóle znaku życia!

Wyjął ze skrytki obok tablicy rozdzielczej kłódek czarnych gumek, jakich używa się w aptekach. Miał własny klucz i dostał się do mieszkania w śródmiejskiej kamienicy. Było już późno, kilkanaście minut po dwunastej. Przypuszczał, że babka śpi, lecz dobiegł go z ciemnego pokoju jej smutny, cichy, drżący głos:

— Jacuś?

— Nie, Bernard.

— Chłopca nie ma?

— Nie ma, ale zaraz wróci — skłamał. — Umówiłem się z nim.

— Wcale już nie nocuję w domu — utyskiwała żalostnie starszuszka. — Nie jada śniadania, nie jada obiadów...

Brzęknęła aprezyna; zaszurały pantofle, których domacała się w ciemnościach stopami. Chciała wstać, Bernard powstrzymał ją opryskliwym, rozkazującym tonem:

— Wróć do łóżka!

— Ale...

— Żadne ale, babciu. Wróć do łóżka i śpij. Noc jest po to, żeby spać.

— Ty nie śpisz.

— Bo ja sobie muszę porozmawiać z tym draniem.

— Nie bij go tylko.

— W żadnym wypadku! Śpij, babciu! Śpij!

Zamknął się w ustępie i przekreślił kontakt u drzwi. Powiesił na klamce marynarkę. Nim wyciągnął ze ściany obuwany kafelek, obserwował jakiegoś czas w oknie przeciwległą stronę domu pograżonego w kamiennym czarnym letargu bezkieszcycowej nocy. Potem, w straszliwej celi skażenia, gotów był przysiąc, że błysnęły ku niemu z nory u poddasza czyjeś złowrogie, wściekłe oczy. Teraz jednakże nie dotarł do niego żaden niepokojący sygnał.

Do dzieła! Jeśli wymienię pieniądze, to wszystkie, z mniejszą, od razu! Jutro żona będzie spała do południa, po czym obudzi się i przeleży w barłogu aż po zmierzchu z potworną migreną, z zimnym kompresem na czole i z niezłomnym, choć fałszywym ślubowaniem, że nigdy więcej nie weźmie wódki do ust. On tymczasem może pojechać na Wybrzeże w stosownym, przygotowanym już ubraniu — w klasycznym garniturku z elanobawelnym, w skórzanym krawadaku i czerwonej koszulce, w białych płóciennych półbutach, w białej płóciennych czapce i w tandetnych przeciw-słonecznych okularach, które nadadzą mu nie budzący podejrzeń wygląd kaszubskiego frajerka, zamierzającego wyemigrować niezwłocznie do rodziny w RFN.

Wytrząsnął z wory na posadzkę trzydzieści osiem milionów w pięć- i dziesięciotysięcznych banknotach ułożonych w paczki. Tego, że brakuje jednej paczki, Bernard, zgodnie z przewidywaniami Jacka, nie zauważył. Zrywał bankowe, ostemplowane taśmy i wrzucał je do sedesu; każda paczka trzymała się teraz w sztyku dzięki czarnym aptecznym gumkom.

Dwukrotnie spuścił wodę. Koniec ze strachem i paniką! Jeśli jutro uda mu się operacja z cinkciarzami w Trójmieście, zbrodnia nigdy nie ujrzy światła dziennego. Nawet gdyby któryś z nich sygnalizował, Jack, Gustaw lub on sam (żadna z tych możliwości nie wchodziła raczej w rachubę), groził im najwyżej, wobec braku jakichkolwiek dowodów i świadków, proces poszlakowy, a w takim procesie dobry adwokat zawsze więcej ma szans niż prokurator.

Odetchnął. Nie pracował ciężko i nie było gorąco, spościł się przecież. Ocierał raz po raz przedramieniem czoło i policzki. Na rozwiązanie czekał jeszcze ostatni dylemat: wziąć pieniądze ze sobą, czy też pozostawić je na noc w ubikacji. Nie mógł się zdecydować. Pałł i myślał. Jeśli wziąć, to co? Przenocują w samochodzie, który ktoś może akurat podwieźć lub spładować, czy też prześpią się w blokowym mieszkaniu, u boku, nieprzytomnej Haneczki, spacyfikowanej niby i wyłączzonej z obiegu, ale wciąż groźnej, obecnej, gotowej wbrew wszelkim znakom na niebie i ziemi obudzić się nagle i wynuchać smacznie siłą swego magnetycznego instynktu? Gdyby jednak pozostawił wór w ustępie, będzie musiał po niego wrócić — rano o niebezpiecznej, ruchliwej porze, kiedy ludzie idą albo szykują się do pracy. Straci w związku z tym dużo nerwów i dużo cennego czasu.

Najlepiej od razu ruszyć do Gdańska!

Krok dzielił go od sukcesu, ale był straszliwie zmęczony i śpiący. No i nie miał ze sobą zaplanowanego, frajerskiego ubranka.

18.

Kukuryk też był zmęczony i śpiący — seszywniał mu kark, zdrewniały ramiona, raz widział normalnie, raz potrójnie, w głowie zapalały się jedna po drugiej zuchwale myśli, a ośluszczone sercem targaly sprzeczne uczucia.

To, co zobaczył i co wciąż oglądał tej nocy w wygódcie po przeciwnej stronie domu, nie pozostawiało już najmniejszych wątpliwości — chodziło o pieniądze, ogromne pieniądze! Kradzione pieniądze! Te same chybą, które zrabowano u drzwi prowincjonalnego banku i za których odzyskanie wyznaczono milion złotych nagrody.

Mam go! Albo i nie mam! — przeżywał Kukuryk podobne rozterki jak Bernard. Chwilami chciał opuścić posterunek przy kuchennym okienku, i biec na róg do telefonu, bał się jednak, iż w tym czasie bandyta — kto by go wziął za bandytę?! — i szmal wyemigrują z domu, aby rozpylić się bezpowrotnie w ciemnościach.

Mam go! Albo i nie mam! — przeżywał Kukuryk podobne rozterki jak Bernard. Chwilami chciał opuścić posterunek przy kuchennym okienku, i biec na róg do telefonu, bał się jednak, iż w tym czasie bandyta — kto by go wziął za bandytę?! — i szmal wyemigrują z domu, aby rozpylić się bezpowrotnie w ciemnościach.

Do Ciebie i do nas

Są słowa, których używamy codziennie i są takie, które rzadko padają z naszych ust. Tych ostatnich nie można rzucić w błoto, bo to nie są zwykłe słowa. To nasza deklaracja. Powinniśmy być wierni słowom, które wypowiadamy.

Są słowa, które wypływają z siebie. Wypływają je bezmyślnie nie wyrażając niczego. Nasz codzienny język to tylko modulowany sygnał bezmyślnego istoty.

Są jednak i inne słowa. Tych strzeżemy jak najcenniejszych skarbów. Leżą ukryte w głębi duszy, ułożone w fałszywych znaczeniach i czekają. Nieraz krótko, nieraz dłużej, nieraz całe życie. Bezpiecznie, niczym w sejfie czekają na kogoś, kto zna szczyt do skarba. Czekają na uwolnienie.

Jedno słowo, jeden gest. Może uśmiech, spojrzenie. To wystarczy, by uleciały grające zwiłokrotnioną siłą swych znaczeń. Uwolnione odezwały się pięknym, głębokim tonem harmonii.

Słowa niszczą się jak buty, które wkładamy co rano; mocno znoszonych nie naprawi najlepszy szewc; słowa wypowiedziane zbyt często tracą swoje znaczenie. Stają się puste, bezbarwne, obojętne. Na dźwięk słowa „ojczyzna” naszym dźwiękiem szybciej bije serce, a krew mocno pulsowała w skroniach. Dłonie silniej zaciskały się na kosie, łopacie, karabinie. Dziś — kiedy co krok słyszymy to słowo, jakie inne słowom — reakcje. Niechęć, znużenie, obojętność, czasem ironiczny uśmiech. Zdarza się, że dawna dumę zastępuje wstyd. Aż tak się zmieniłyśmy?

Jakże lubimy słowo „szczęście”. Przyznajemy się do tego w rozmowach, wywiadach, ankietach. Ale prywatnie szczęście jest dla nas objawem psychicznej anomalii. Bo kto z nas jest dość szczery? Nie potrafimy tego nawet wobec siebie. Przywykliśmy, że stan normalny to brak szczerości. Przywykliśmy. Coraz szybciej przywykamy. Strasznie szybko.

Mamy inne ulubione słowo — „pokój”. To bardzo śmieszne słowo; niekoniecznie musi oznaczać rozbrojenie — zwłaszcza w ustach polityków ukrywających za słowami różne rodzaje maści. Słyszemy wciąż, że: „Pokój to my! Walczymy o pokój! Jesteśmy gotowi umrzeć dla pokoju”. Zbyt dobrze i zbyt często słyszymy — puste słowa.

Długo użyliśmy się „prawdy”. A kiedy byliśmy gotowi za nią zginąć, ona okazała się fałszem. Zniechędziliśmy więc prawdę i nazwalismy „klamstwem”. I znów szukaliśmy „prawdy”. Teraz znaleźliśmy ją szybciej. Była zachwycająco piękna. To była nasza nowa „prawda” — jedyna i niepodważalna. Wkrótce, pod grubą warstwą pudru pokazywały się zmarszczki tej starej. Ale to przecież niemożliwe. To tylko złudzenie. Ta stara i zła prawda już nigdy nie wróci. Nie wróci...

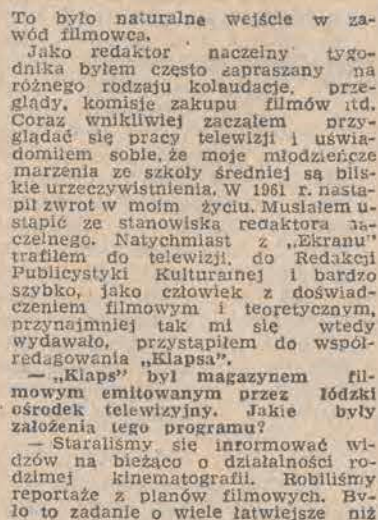
Uczyliśmy się wiary. Rodziliśmy się dla wiary i dla niej ginęliśmy. Rodząc się wierzyliśmy. Umierając, nie wierzyliśmy, że to już koniec. Uczyliśmy się nadziei. Mielismy nadzieję na prawdę, nadzieję na wiarę, w końcu mieliśmy nadzieję nadziei. Ale przyszł czas, kiedy nie mieliśmy już nic. Pozostała tylko nadzieja.

Wreszcie przełamane obawy. Nareszcie decyzja — nadszedł czas. Siegamy do naszego skarbu — naszych słów ukrytych w sercu. Teraz są nam potrzebne.

Są słowa, które można powiedzieć raz w życiu. Są zbyt cenne, żeby wyrzucić je w błoto. Są lekkie, jak puszek dmuchawca niesiony przez wiatr. Dźwięczne, jak ckanie świerszczy w górskiej trawie. Są świeże i czyste jak powietrze po wieczernej burzy. Ty też je usłyszysz. Pomóż im uwolnić się, przebudzić, wlecieć ponad nasze codzienne słabości.

MAREK JUŚKIEWICZ

C.D.N.



— Rozmowa z GRZEGORZEM DUBOWSKIM, reżyserem filmowym

[illegible]

- Ale jak to się stało, że stał się pan z kamerą filmową?

- Jedną z ciekawszych komórek przy „Ekranie” było założenie Dobrej, uczciwej Warsztatu Filmowej - Teledzielnego, który skupiał wokół siebie ambitniejszych amatorów. Założył go mój brat i ja, a niegdyś Krzysztof Zanussi, Wincenty Rolisz, Bożumili Drozdowski obecnie znakomity krytyk filmowy i wielu innych, tak że znaleźliśmy się w tym towarzystwie i właśnie tam stawiałem pierwsze kroki. Wychodziłmy z założenia, że potaczenie działalności teoretycznej krytycznej z praktyką nie widzieliśmy tylko na zdrowie

dzisiaj do przeprowadzenia, gdyż produkcyjni w latach sześćdziesiątych były skromna. Reżyserowali wybitni byli z całą pewnością reżyserzy filmowych i aktorów. Równolegle podobnego typu działalność prowadził dla „Pegaza”, choć tam problem częściej reporterszy z teatru, niż w tym mnie najcenniejsze szkolę popularyzacji i dystrybucji sztuki. Aktorami. Rejestrowaliśmy najciekawsze fragmenty spektakli z całej Polski. Nazawieralem muśtożo interesujących znajomości z tymi, którzy nadszedł moment, że zaproszono go na prosił, sondaż filmowy. Odwiedziliśmy se. Efektom był film „Stadami Mikołaja Kajki”. Był to mój ukłon wobec ziemi z mojej młodości – Elku, która musiałam użnąć za rodzinna, jako że Włodek, który została po drugiej stronie Niemna.

Z Odnośne wrażenie, że kontakt z wybitnymi osobowościami ludzi sztuki zadecydował o pańskich późniejszych zainteresowaniach reżyserskich.

Zawsze w mojej działalności filmowej do portretowania wybieram ludzi niejednoznacznych. Miałam i mam na tyle doświadczenia życiowego, aby zdawać sobie sprawę z tego, że bohaterem filmu powinien być człowiek skomplikowany wewnętrznie, z którym można osiągnąć dialog. Przecież jednakże reżyser filmowy wchodziący w orbitę dokoną artystycznych swego bohatera winien to czynić z należytym szacunkiem wobec twórcy. Poza tym kontakt z dobrym artystą jest ogromnym źródłem wiedzy o osobowości. Takie spotkanie jest dla mnie, wspaniała przygoda, przyjemność obcowania z człowiekiem, od którego mogę się czegoś nauczyć. Cieszy mnie, kiedy mogę wydać twórczość filmową, mówiąc: "To jest dzieło człowieka".

Dziatem pomiędzy światem wizerunku artysty portretowanego a widzami. Przecież niejednokrotnie dzieła sztuki jest hermetyczne. Nie każdy jest w stanie zrozumieć twórczość Leszka Rogalskiego, Gajdy czy Wajdy. Dlatego ja jestem tam, gdzie artyści mówiący o swojej twórczości mieli szansę dotarcia do jak największej widowni. A wybór osób, bohaterów dźwięcznych filmów? Na skutek pracy w miastach kontynuacji są z nimi bliźniaki, kontakty. Znam ich. Gdy jednakim na reportaż, Polska my- do Wojciecha Hałas kreatorskiej „Pamiętnik znaleziony w Saragossie” to przez dziesięć dni siedziałam na planie. Podobnie u Jerzego Kawalerowicza, który realizował „Wielką siłę”. Wiedziałam, że przedstawienie tego prace jednocześnie ucząc się. Stałem dowiedzieć się jak napisać.

— O długości czasu spędzonego na planie filmowym w różnych reżyserów bardziej decydowała chęć odkrycia (tąjników filmowej produkcji), niż konieczność dostarczenia miłośnikom kina.

— Można to tak powiedzieć... Wiedziałem, że mam parę spraw w życiu rozześcić. Kiedy nie przyjechałem na Wydział Dziennikarski, postanowiłem zająć się filmem. Wiedziałem, że w życiu w porządku nie chcę się bawić, to ja sobie stworzę własną gazetę. I stworzyłem „Ekran”. Kiedy już pracowałem w telewizji i czułem niedo-

— Realizując „Portret Witkacego” f. „Tumor Witkacego” także szukał pan pozytywów tej postaci, zdecydowanie odcinając się od schematycznego postrzegania Witkacego jako narkomana, szaleńca, kobieciarza...

Przebieg wiele lat penetrowałem ten obszar zainteresowań, a kiedy już natadowałem swój „akumulator” zacząłem podzielać poglądy Anny Mińskiej, doskonale Wytkałoga, na temat niektórych reżyserskich wadach, którzy znawali się z Wytkałogiem. Otrzymałem od niego listy pełne wyrażenia opinii o działalności publicystów, którzy sprzedawali tego człowieka jako piątkę, degenerata, kłobaczarza i wariatka. Denerwowało mnie, że tak nieodpowiedzialnie, całkiem poważni ludzie „wycierają sobie nóż zebe”. Postanowiłem nakreślić „Tumora Wytkałoga” filmem, który miał być „filmem o filmach” poczynając od artystycznych. Chciałem w tonie poważnym opowiedzieć o jego filozofii, postawie wobec życia. W końcu jest to autor, który napisał ponad trzydzieści dramatów. Daj Boże, żeby każdy z nich pozostawił po sobie „ślad”. Wreszcie, wreszcie, pisałem o nim kilka powieści, dziesiątki esejów publicystycznych, tysiące portretów, setki kompozycji formistycznych... — W końcu i w pana twórczości filmowej pojawiło się zainteresowanie formalnymi rozwiązaniami, a film „W” jest tego najsławniejszym dowodem.

szyszy twórcy. Jest to chyba najbardziej autorska próba artystycznego przemyslenia jakiejś całości. Jest to historia, jak pani zapewne odczytała, o niemożności artysty. Każdy twórca przeżywa podobne dylematy i rozterki a reżyser filmowy zwłaszcza. W wyborze widza różni wspomniany reżyser, sytuacja a kiedy zaczyna się nosić na ekran, wszystko zaczyna widnieć. Okazuje się, że nie ta kamera, nie ta taśma, nie te pieniądze, nie ten aktor itd. Ja to doświadczając przeniosłem na malarza pozabawionego talentu, który w wyborze malowania widzę artystę sprzed płótnem opadają mu ręce.

— Powszecchna opinia głosi, że skoro twórca podejmuje tego typu temat to mówi o sobie, albo o ko-

egach.
- Potraktujmy „W lustrze” jako
żart filmowy na temat trudności
wzrzenia. A tak naprawdę, to ten
żart jest dla mnie bardzo poważna
proba przed filmem o Pawlikow-
skiej-Jasnorzewskiej, mało docenia-
nej w Polsce poetce i autorce sztuk
teatralnych, których napisała kil-
kadziesiąt. Jest również fascynują-
ca jako człowiek, jako kobieta.
Trzech mężów, kilka przeżyć mi-
łosnych, niesłychanie bujne życie
osobiste...

— To tak bardzo podnosi wartość kobiety?

— Oczywiście. To świadczy o odwadze kobiety, która nie wyciąga wniosków z raz popełnionego błęd-

WILKÓW z raz popelnionego bledu i popemia je dalej...

— Dziękuję za rozmowę.

**IWONA
NIEMIEC-ADAMSKA**

Poglądy, opinie i taktę przedstawiamy w ramach s reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

20 lipca — RYSZARD BINKOWSKI — godzina
10—15.

27 lipca — DARIUSZ DOROŻYŃSKI — godzina
0—15.

RELACJA Z REPORTERSKIEGO DYŻURU
Z DNIA 13 LIPCA 1989 ROKU

Okres urlopów mamy w pełni, lecz tematy, z jakimi zwracają się do nas Czytelnicy, nie mają z kanikulą nic wspólnego. Przeciwnie — z rozmów wynosi się wrażenie, iż pogląd, jakoby w lecie żyło się w mieście całkiem przyjemnie, bo w mniejszym tłoku, stracił na aktualności. Nie tylko nie żyje się lepiej, ale jest gorzej niż miesiąc, dwa temu.

Pan M., od trzech tygodni
usiłuje odebrać dla swojej cho-
rej matki dodatek do emerytu-
ry w wysokości 30 tys. złotych.
Nie może tego uczynić, ponie-
waż począł Łódź-11 przy ul.
Zgierskiej zablokowaną jest tłu-
mem starszych ludzi, usiłują-
cych otrzymać należne sobie
pieniądze. Pan M., który dojeżd-
ża do matki z centrum miasta,
rezygnował już czterokrotnie,
zniechęcony długocią kolejkii i
ściskiem. W dawnych, dobrych
czasach — mówi z gorzycą M. —
pieniądze przynosił do domu
listonosz. Obecnie najwyraźniej
nie warto być listonoszem, sko-
ro jest ich za mało. Co nam
jeszcze pozostało do zepsucia?
— zapytuje nasz czytelnik.

Z pocztą związana jest również opowieść **Andrzeja G.**, który wysłał przekaz alimentów. Niestety była małżonka nie otrzymała tych pieniędzy, choć wysyłała z pocztą na placu Niepodległości nastąpiła przeszło dwa tygodnie temu. Andrzej G. szykuje się więc do batalii o odzyskanie powierzonych pocztę pieniędzy. Nie będzie to łatwe zadanie — przypuszcza, dodając do tej wątpliwości smutne refleksje nad upadkiem solidnej niegdyś instytucji.

Andrzej G. postuluje, aby wiatę tramwajową z ul. Łagiewnickiej (przy ul. Włoszkiej) przenieść w takie miejsce, aby nie trzeba było przechodzić do tramwaju przez jezdnię. Stalo się to bowiem ostatnio przyczyną śmierci starszego mężczyzny, przejeżdżającego przez samochód bez najmniejszej swojej winy. Kierowcy nie reagują na pulsujące w tym miejscu żółte światło i przebiega to jest nadal bardzo niebezpieczne.

O tym, co zobaczył wczesnym rankiem w parku na Zdrowiu, powiadomił nas pan

Zawiadowski. Był on na spacerze z psem, gdy ujrzał nad stawem grupę dorosłych mężczyzn. Przynieśli z sobą specjalnie przygotowane wędkę, z

chlebem zamiast robaka, i zarzucali je na... dzikie kaczkę. Po pewnym czasie udało im się złowić cztery ptaki. Jaki był dalszy los nieszczesnych krzyżówek, nietrudno się domyślić.

Pan Zawiadowski klasyfikuje to zdarzenie jako przykład zdziczenia obyczajów. My także, obawiając się, że może się nie skończyć na jednym incydencie. Gdyby nasze parki miały opiekunów, można by w tym miejscu zaapelować o pieczę nad stawami i parkową fauną. A tak – pozostaje apelować o resztki cywilizacji. Czyż można jednak apelować o to do dzikich?

Pan R.C. (nazwisko znane redakcji) dziwi się praktykom stosowanym przez Zarząd Wojewódzki Pracowniczych Ogrodów Działkowych przy sprzedaży działki. Praktyki te, wynikające ponoc ze statutu, polegają na przysysłaniu do oceny wartości działki dwóch rzeczoznawców (jednego od domu drugiego od nasadzeń) biorących za swe usługi 10 procent od ceny sprzedaży, a więc wcale nie mało. Nie jest to bynajmniej opłata trafiająca do kasy zarządu, lecz wyłącznie do prywatnej kieszeni rzeczoznawcy. Po co więc — zastanawia się R.C. — wprowadzono taką praktykę, skoro nie powiększa

ona wpływów ogółu? Pytanie to kierujemy do zarządu — próba o wyjaśnienie. Czytelnik! podzielił się również z nami smutną refleksją na temat dochodów emeryta, mającego za sobą 34 lata pracy w przemyśle bawelnianym. Są one śmiesznie niskie, z trudem wystarczają na podstawowe zaopatrzenie potrzebne. Byłem kiedyś działaczem społecznym — mówi R.C. — zaś obecnie jestem rozgoryczony. Nie zdziwie się, że młodzież nie chce iść w nasze ślady". Ostatnio R.C. zakupił przez znajomego w RFN niezbędne mu zaopatrzenie lekarskie, które kosztowało 40 marek. Zapłacił się, wydał oszczędności. Za co teraz kupi następane lekarstwo, takie małe pudełeczko? — pyta.

Maria DREWNIĄK zadzwoniła do nas w imieniu kilkudziesięciu działkowców z ul. Trybunalskiej (rejon CZMP). Ich działki wydzielone od ponad 10 lat, zostały w tym okresie solidnie zagospodarowane. Postawiono na nich domki wypoczynkowe, szklarnie, zasadzono drzewa i krzewy. Nieszczęs-

cie przyszło wraz z rozbudową osiedla przy ul. Tuszynskiej oraz powstaniem Szpitala-Pomnika. Zniwelowanie terenu sprawiło bowiem, iż do Olechówki spływają teraz dodatkowo porcje wody deszczowej ścieków. Niekorzy zdarza się większa ulewa (ostatnio wystąpiła już zwykły deszcz), tylekroć Olechówka występuje z brzo-

gów, zalewając położone nad jej brzegiem działki. Cuchnący szlam zniszczył uprawy, przesłał się do szklarni i domków, słowem – działki straciły swą przydatność. Władze powiadają, że uregulowanie rzeki nastąpi dopiero w 1992 roku. „Do tego czasu będę posiadaczką nieużytku, którego nikt nie zechce ode mnie odkupić. Dla czego, budując nowe osiedle, nie pomyślano o spływie wód? Kto mi wynagrodzi straty?” Takie pytania kieruje do władz Łodzi M. Drewniak. Sądzimy, że powinna otrzymać na nie jasną i konkretną odpowiedź.

Marian F., który czekał przez 6 tygodni na przedłużenie ważności paszportu i nie dał się jeszcze przekonać przez urzędników, że jest to całkowicie normalne, ma również uwagi na temat absurdów w polskim prawodawstwie. Jako przykład podał rozporządzenie z Dziennika Ustaw nr 3 (z początku roku), stanowiące o proporcji pomiędzy funduszem wynagrodzeń a zyskiem w nowo powstających spółkach. Rozporządzenie to przewiduje surowe kary za nieprzestrzeganie określonego wskaźnika udziału wynagrodzeń w zysku spółek. Rzecz jednak w tym, że nie wiadomo, jaka jest wielkość tego wskaźnika. Według „Dziennika Ustaw” zostanie on określony przez Izbę Skarbową do 30 czerwca 1989 r. Jak można się domyślić, nie jest znany do chwili obecnej, choć są już „przecieki”. Jeśli teraz okaże się, że właściciel spółki gospodarował się w pierwszym półroczu inaczej niż określili to dopiero przepis, zapłaci karę. Tak się nie robi — zauważa Marian F. — Można się z tego uśmieć, gdy ma się poczucie humoru, albo nie prowadzi się spółki...

Na zakończenie sięgnijmy do historii. Seweryn Sufłida, który przeczytał artykuł Lucjusza Włodkowskiego o lotnictwie Armii „Łódź”, przypomniał o mało znanym epizodzie, który rozegrał się we wrześniu 1939 roku nad wioską Walewice dawnym powiecie Łask. Doszło tam do zestrzelenia przez niemiecki myśliwiec powracający z bombardowania samolotu typu „Karas” z 3-osobową załogą. Zgineli dwaj polscy lotnicy z załogi „Karasia” — porucznik i kapral, którzy pochowani zostali w miejscowości Wygierzów. Przez długie lata ich grób był zaniedbany i bezimienny. Dopiero od 10 lat, dzięki staraniom kombatanów z Żelowa, zyskał właściwą opławkę. Do dziś nie wiadomo, jakie były okoliczności zestrzelenia polskiego samolotu. Podobno żyje jeszcze trzeci członek załogi, który się uratował. Dlaczego — pyta S. Sufłida — przez tak długie czasy nie dbano o grób? Czemu milczał trzeci członek załogi? Wątpliwie czy obecnie znajdzie się ktoś, kto znajdzie odpowiedź na te pytania. Być może — zauważa Czytylnik — zestrzelenie pojedynczego samolotu wyda się komuś mało ważnym szczegółem. Trzeba jednak pamiętać — argumentuje — że działania lotnictwa Armii „Łódź” składały się wyłącznie z takich właśnie, oddzielnych epizodów. Należy je więc ocalić od zapomnienia.

ANDRZEJ
GEBAROWSKI

Proponuję filmu obejrzenie amerykańskiego filmu pt. „Fatalne zauroczenie” którego reżyserem jest Adrian Lyne. Głównym wątkiem filmu jest historia miłosna, która staje się dramatem mężczyzny, w kobiecie zaś wyzwała demona zazdrości i pragnienie wyłączonego posiadania partnera. Oświecenie bohatera i jego rodziny przez dziewczynę odrzucającą rolę zabawki na jedną noc prowadzi do horroru i...

Krytycy uznają Lyne'a za twórcę zarówno doskonale poruszającego się w naturalnej, miejskiej rzeczywistości, jak i — w innym planie — filmowca wnoszącego nowe propozycje do kina psychologicznego i to w materii najtrudniejszej — ewolucji pojęcia miłości i seksualizmu. W rolach głównych występują: Michael Douglas, Glenn Close, Anne Archer, Ellen Hamilton Latzen, Stuart Pankin i inni.

USŁUGI

MARMURKOWANIE. Nowosol-
na, Grabińska 11, Jaśkiewicz.
41308/a

FRYZJERSTWO męskie u klienta. Zgłoszenia: środa, czwartek 74 22 51. Dziękuję.

STOLY szwalnicze wykonuje.
Piwowski, Ksawerów, Sucha
9. (87-34-11).

MATRYMONIALNE

ATRAKCYJNE oferty panów z
RFN, „Samanta” 59—850 Świe-
radów Zdrój. skrytka 13.

Rys. Dariusz Pietrzak

POLEMIKI

LISTY OPINIE

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie” publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawiane w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

MAM KILKA PYTAŃ

1. Czy goście, którzy przyjadą na „Interfashion 90”, będą oglądali gwiazdy, „odrobione” twarze i hasła, które widzieli w fokku białym?

2. O ile mi wiadomo, marszałek Józef Piłsudski nigdy parlamentu „był” estyma nie darzył, a posłów bezceremonialnie nazywał „fajdanami”. Nie wiem więc, czy przywoływanie jego pamięci w wyborczej kampanii było pomysłem najlepszym. Zastanawia mnie wszakże, jaką treść kryje dzisiaj określenie „piłsudczyk”, zwłaszcza jeśli określa się nim kandydat do parlamentu, który w roku śmierci Marszałka miał pięć lat?

3. Zastanawia mnie także, jaką konkretnie treść zawiera hasło „precz z komuną”, wykrzykiwane i noszone na transparentach, przez różnorakiej maści demonstrantów? O jaką, którą „komunę” idzie — te z lat pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, siedemdziesiątych, czy obecną, która oprócz działań, o których „komunie” z lat sześćdziesiątych się nie śniło, pozwala również na takie demonstracje?

4. „Precz z komuną” wołali również na sali sądowej studenci, po odmowie rejestracji przez sąd Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Indywidualny obywatel byłby za takie zachowanie, naruszające w sposób oczywisty powagę sądu, ukarany grzywną. Przyczyna odmowy rejestracji NZZS było, jak wiadomo, umieszczenie w statucie tej organizacji postanowienia o prawie do strajku. Odmowa rejestracji przez Sąd Rejonowy została zaskarżona do Sądu Wojewódzkiego, w trybie postępowania instancyjnego. Niezależnie od tego, jaki będzie wyrok instancji odwoławczej, rodzą się pytania:

- dlaczego dla organizacji, która mogła mieć szansę legalnego działania poprzez rejestrację, sprawą najważniejszą jest możliwość strajkowania? Czy nie ma innych, ważniejszych sfer działalności w życiu społeczności akademickiej, które warto i należy realizować w ramach organizacji, która ma szansę legalnego działania?
- czy studenci działacze, tak walczący o prawo do strajku, pewni są społecznego poparcia swego żądania? Czy są przekonani, że społeczeństwo, w tym również ich rodzice, lożący — poprzez podatki — na utrzymanie wyższych uczelni, na stypendia, domy akademickie itp., rzeczywiście są zainteresowani życiem tym, aby młodzież akademicka mogła legalnie strajkować?
- czy organizacja, której członkowie i sympatycy zachowali się po chemsku na sali sądowej, zdobyła się na słowa przeprosin wobec sądu?

5. Uciechła — wobec innych wydarzeń społecznych i politycznych — dyskusja nad projektem ustawy o ochronie życia poczętego, który niektórzy nazywają projektem „ustawy o przymusie” rodzenia dzieci”, inni zaś powiadają, że poprzez tę ustawę Kościół katolicki przynajmniej nieskutecznie groźby kary boskiej i przedkładania nad nią doraźną karę świecką. Projekt ustawy zainicjował Sejm. Powstała wszakże wątpliwość: jeśli Sejm taką ustawę uchwalił, to — przy sformalizowaniu zawodu sędziowskiego, a także prokuratora — kto będzie oskarżał i kto wydawał wyroki skazujące? O ile bowiem znam życie, niejedna pani prokurator i niejedna pani sędzina znalazłaby się w konflikcie z przepisami tej ustawy.

PIOTR SIKORSKI

KTO URATUJE PIŁKARZY W ŁKS?

Jestem zaprzyśniętym kibicem Łódzkiego Klubu Sportowego. Nikogo więc nie dziwi moja obawa o losy sekcji piłkarskiej ŁKS, a te nie rysują się zbyt różowo. Pamiętam, że od 1958 r. piłkarze najstarszego łódzkiego klubu nie odnieśli w polskiej piłce większego sukcesu. Przyczyny, ogólnie znane, można mnożyć: słabość kardowe, karuzela trenerów, nieudolność organizacyjna, etc. etc. Jeśli nawet udało się zmontować wartościową jedenastkę — zwalniał trenera (vide: p. Leszek Jezierski, który to kilkakrotnie podejmował pracę w ŁKS).

W 1988 roku byliśmy świadkami prawdziwego „wstrząsu”. Wiele zdolnych piłkarzy opuściło ŁKS. Nie wiem, kto jeszcze zgłosił chęć rozstania się z Łodzią, ale jedno nie ulega najmniejszej wątpliwości: takie ubytki kadrowe pozostawiają na zespole określone, ujemne piętno i mają swoją wymowę. Bo zastanówmy się z kolei: kto uzupełnił tych, którzy odeszli? Część nabytku to do niedawna jeszcze zawodnicy III ligi, pozostali zaś awansowali do pierwszej jedenastki wprost z szeregów juniorów. I co w tej sytuacji może zdziałać trener, nawet tak uznany fachowiec, jak Leszek Jezierski.

Nie wiem, jakie są (i czy w ogóle są) w ŁKS plany uzupełnienia poniesionych strat kadrowych i widocznego wzmocnienia zespołu. Przecież już w sierpniu 1989 r. rozpoczyna się kolejna runda rozgrywek, czas więc nagi. Prawda jest brutalna: sama ambicja i najszersze choćby chęci nie zastąpią rzetelnych umiejętności zawodników, to stanowczo zbyt mało, nawet w warunkach naszej siermiężnej, piłkarskiej rzeczywistości.

Od lat nurtuje mnie pytanie: czemuż to nie do „podkupienia” są zawodnicy klubów górniczych czy wojskowych? Dlaczego też finansowe (i nie tylko) oferty tych klubów są nie do przecięcia i łamania najtwardsze charaktery? Inne kluby są dla wyżej wymienionych mniej lub więcej mizernym tłem i jest to chyba jedna z anomalii polskiej piłki nożnej, ale to już inny temat.

Apeluję do Zarządu Łódzkiego Klubu Sportowego, aby zasladał w nim ludzie stanęli na wysokości zadania i nie dopuścili do tego, aby piłkarze podzielili los koszykarów i hokeistów. Rozumiem rozliczne trudności, głównie finansowe, ale czy w naszym, drugim co do wielkości mieście w kraju nie znajdują się dostatecznie zasobni sponsorzy, gotowi poćpieszyć ŁKS z pomocą? Czyż wreszcie władze miasta nie spojrzą na sprawę swego najstarszego klubu bardziej przychylnym okiem?

ZBIGNIEW GRALEWSKI

JAK TO BYŁO Z „DAREM PRZEMYSŁA”?

Jacht „Dar Pomorza” zbudowano w roku 1798 w Stoczni Jachtowej im. Józefa Conrada Korzeniowskiego. Już nie istnieje. Został skreślony z rejestru polskich jachtów.

Kapitan Henryk Jaskuła zamierzał dokonać na tym jachcie jeszcze jednego wyczynu. Chciał opłynąć kulę ziemską po raz drugi bez zawijania do portów, ale nie w tradycyjnym kierunku, tak jak za pierwszym razem na wschód, lecz odwrotnie na zachód. Jacht został przygotowany do tej wyprawy w roku 1984. Kapitan Henryk Jaskuła wypłynął w sierpniu 1984 r. z basenu jachtowego w Gdyni. Niestety, wyprawa nie powiodła się. Po kilku dniach, przy podejściu do Cieśniny Duńskich jacht zaczął przeciekać. Nabierał wodę tak szybko, że pompy zezowe napędzane agregatem prądowtorem i ręczne, pracujące jednocześnie nie nadążały z odpompowywaniem wody. Kapitan zdecydował się wreszcie pomóc.

W roku 1986 przeprowadzono remont jachtu i remont silnika. Mimo swoich 10 lat jacht po remoncie był w bardzo dobrym stanie technicznym. Przemyski żeglarz przemyslił o wykorzystaniu jachtu i w sezonie zimowym. Tak zrodziła się w przemyskim świątku żeglarskim wyprawa na Morze Karaibskie. Liczba chętnych do udziału w tej imprezie okazała się bardzo duża. Wyprawa podzielona na etapy. Pierwszą część wyprawy to trasa Gdynia — Hawana. Druga to Hawana — Hawana z żeglugą w stylu — luty — luty po Morzu Karaibskim. Trzecia to Hawana — Pireus. W Pireusie „Dar Przemysła” miał być najpóźniej w połowie czerwca 1988 r. Następnie kilka krótkich rejsów po Morzu Egejskim i Jońskim. Ostatni etap wyprawy to powrót z Morza Śródziemnego dookoła Europy, tak żeby jesienią stanąć w macierzystym porcie w Gdyni.

„Dar Przemysła” opuścił Gdynię 16 września 1987 r. udając się na trasę pierwszego etapu wyprawy. Skład załogi to dwu kapitanów jachtowych żegluga wielkiej, jachtowy kapitan żegluga bałtyckiej, dwóch jachtowych sterników morskich i dwóch żeglarzy. Jeden z nich to specjalista od silników wysokoprężnych, bardzo dobrze znający silnik znajdujący się na jachcie. Drugi żeglarz, to lekarz wyprawy. Kapitan tego etapu wyprawy prowadził w rejsach „Dar Przemysła” już sześć razy, jego zastępcą też prowadził rejsy na tym jachcie. Reszta członków załogi także już pływała na tym jachcie. Razem siedem osób o wysokich kwalifikacjach żeglarskich i specjalistycznych.

Po trzech tygodniach od wyjścia z Las Palmas (Wyspy Kanaryjskie) jacht cumował na Barbados (Antyle). Był na Morzu Karaibskim, ale jednocześnie i w trójkącie bermudzkiej. Akwen ten charakteryzuje się silnymi prądami, a latem i jesienią tędy przechodzą tajfuny i huragany.

20 grudnia 1987 r. wiał silny wiatr o sile 4-5 stopni Beauforta, ale z dobrego kierunku, z baksztagu. Wysokość fal wyniosła około 2 m. Prąd o prędkości 1-1,5 węzła był zgodny z kierunkiem żegluga. Prędkość jachtu wyniosła względem dna ponad 7 węzłów. Żegluga była więc bardzo szybka. Przy takiej żegludze jacht powinien być w Hawanie za około dwie doby. 25 grudnia 1987 r. przylatywała następna załoga, a przecież trzeba tradycyjnie po rejsie składować jacht, no i zwiedzić Hawanę.

Dzień był pochmurny, ostatnia w miarę pewna pozycja z pomiaru wysokości słońca była z dnia poprzedniego. Na horyzoncie ledwo widoczne było wybrzeże Kuby, a może było to tylko chmury? Zbliżała się popołudniowa wachta (od godziny 16.00 do 20.00). Dla określenia dokładnej pozycji kapitan nakazał żeglować w kierunku lądu, aby po zapadnięciu zmroku móc określić dokładną pozycję z latarni morskich palących swoje charakterystyczne światła w nocy. W myśli starego porzekadła żeglarskiego: „Jak się ściemni, to się rozjaśni”. O godzinie 19.10 zobaczono latarnię morską. Z charakterystyki światła wynikało, że jest to Punta Roma na północnym wybrzeżu Kuby. O godzinie 19.40 dokonano następnego namiaru na tę samą latarnię. Kapitan po wykreśleniu pozycji oznajmił załozę, że pozycja obserwowana z dwóch niejednocześnie namiarów zgadza się niemal idealnie z pozycją zliczoną. U części załogi spotkało się to z radością, że sternicy wachtowni tak dokładnie utrzymywali kurs oraz prowadzono nawigację zliczeniową była bezbłędna. Druga część załogi wątpiła w tak wysoce precyzyjną zgodność obu pozycji. O godzinie 19.45 spostrzeżono jeszcze jedną latarnię morską. Zidentyfikowano charakterystykę światła i wzięto namiary. Okazało się, że namiary na latarnię morską o takiej charakterystyce światła absolutnie nie pasują do tej pozycji, którą przed chwilą uznano za prawdziwą. Dokonano jeszcze raz identyfikacji charakterystyki światła latarni i powtórzono namiary. Błędów tutaj nie było.

Pęk brzoś pasatowego. Dwóch członków załogi poszło na dół zrzucić żagiel i usunąć skutki awarii — była godzina 19.50. Sternik zmienił kurs na doładowy, aby umożliwić członkom załogi pracującym na dźwobie łatwiejsze zrzucenie fok pasatowego i rozbrojenie go ze spinakerbomu. Nie zdawał sobie sprawy z bliskości lądu.

Kapitan wyszedł na pokład i nakazał zmianę kursu w kierunku północno-zachodnim. Sternik położył jacht na nowym kursie. Odchodził od lądu. Nagle członkowie załogi pracujący na dźwobie zauważyli ląd i krzyknęli do sternika prowadzącego jacht: — Ster prawo na burzę! Była godzina 20.05. Kapitan wydał polecenie natychmiastowego uruchomienia silnika. Silnik nie zaskoczył. Jacht żeglował teraz prosto na północ. Nastąpiły dwa lekkie uderzenia stępka o dno. Następnie, trzecie uderzenie, było tak silne, że w prawej burcie powstał otwór poniżej linii wodnej. Jacht położył się na prawej burcie i osiadł na dnie. Kapitan zarządził zbiorczą załogi w kokpicie. Rozdano kamizelki ratunkowe. Byli wszyscy, nikomu nie było się stało. Tylko fala przybojowa uderzała jachtem o skały i przemieszczała go w stronę brzegu. W eter popłynęło wzywanie o pomoc. Uruchomiono w radiostacji automatyczny nadajnik alarmowy na częstotliwości bezpieczeństwa. Wzywano pomocy na kanale bezpieczeństwa poprzez radio-nadajnik UKF. Wyszło cztery czerwone rakietki.

Jacht ułożył się dnem przeciw fali, stanowił dobrą osłonę dla załogi od wiatru i wilgoci. Załoga schroniła się we wnętrzu jachtu starając się jednocześnie ratować dokumenty, jedzenie i rzeczy osobiste. Był to okres odpływu, woda ciągle opadała na zewnątrz jak i wewnątrz jachtu. Fala przybojowa przestała wstrząsać jachtem. Pomimo bliskości brzegu, kapitan uznał, że noc należy przeczekać w jachcie, gdyby pomoc nie nadeszła i dopiero w dzień rozpocząć ewakuację na brzeg. Około godziny 22.30 pojawiły się światła jakiegoś pojazdu na wybrzeżu. Wyszło jeszcze jedną czerwona raketkę i nadano sygnał SOS światłami salingowymi. Pojazd zabłysnął światłami i odjechał. Po godzinie 24.00 pojawił się traktor z żołnierzami. Podjechał do samego jachtu. Rozpoczęła się ewakuacja załogi i sprzętu.

Załoga została umieszczona w baraku straży granicznej. Kapitan wraz z jednym członkiem załogi o godzinie 7.00 zostali zabrani przez żołnierzy do pobliskiej miejscowości Puerto Manati. Stąd mieli połączyć się z Ambasadą Polską w Hawanie. Połączenie uzyskali dopiero po południu ze stolicy prowincji Las Tunas dokąd ich przewieziono, 60 km od miejsca wypadku. Za pośrednictwem Ambasady i Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Polsce powiadomiono o wypadku armatora jachtu, czyli Przemyski Okręgowy Związek Żeglarski oraz Towarzystwo Ubezpieczeń i Reasekuracji „WARTA” S.A.

21 i 22 grudnia 1987 r. pięciu członków załogi prowadziło akcję demontażu i ratowania osprzętu z jachtu. Władze kubańskie nie dopuszczały do kontaktu kapitana z załogą, w celu umożliwienia prowadzenia akcji ratowniczej jachtu. Został on przewieziony do Hawany, gdzie po interwencji konsula zwolniono go z aresztu 24 grudnia 1987 r. Komisarz awaryjny przedstawicielstwa E.S.I. „Cuba” współpracującego z T.U.R. „WARTA” przybył wraz z kapitanem na miejsce wypadku dopiero w dniu 25 grudnia wieczorem. Następnego dnia dokonano oględzin stanu technicznego jachtu — był to już wrak s/y „Dar Przemysła”.

W ciągu kilku dni w czasie odpływów i przypływów jacht był niszczonej o rafę przez fale przybojową. Podczas odpływu odległość do jachtu od linii brzegowej nie była większa teraz jak 50 metrów. 29 grudnia 1987 roku powrócili do kraju członkowie pierwszego etapu wyprawy. Pozostałe etapy zostały odwołane. Jacht „Dar Przemysła” uznano za stracony.

HENRYK G. SABINIĄK

SZTUKA ŁĄCZENIA

Przejeżdżam koło Centralu i nie wierzę oczom. Przejeżdżam drugi raz — to samo! Ogromnymi literami wypisano na studiu reklamowym propozycję nie do odrzucenia: „W imię przyjaźni zaprasza Pewex”...

Na pewno chodzi o to, żeby ściągnąć więcej „zielonych” z rynku, ale mogli już jawnie napisać: Na litos boską, wydajcie dolary, póki dobrze stoja! No bo tak, to o jaką przyjaźń tu chodzi? Klienta z handlowcem? Narodu z Rzędem? Nie! Tu kryje się jakiś sekret. Na pewno Koreańczycy, w dowód sympatii, obniżyli ceny magnetowidów.

Może słowo „przyjaźń”, którym się posłużono, jest użyte trochę na wyrost, ale i tak Koreańczykom należą się słowa uznania. Za co? Za sztukę łączenia nieprzyjemnego z pozytywnym. Leją się przecież w tym swoim Seulu, nie wiedzą nawet dokładnie, kto z kim, dlaczego i o co, ale mogą się wyszumieć do syta. A z drugiej strony, proszę: i olimpiadę zorganizowali, i magnetowidy produkują, zdobywają rynki europejskie przebojem, a wystarcza im czasu na zadzierzganianie więzów przyjaźni.

Tylko, o których Koreańczyków tu chodzi? Z jednymi się przyjaźnimy, ale oni nie robią sprzętu wideo. Drugi robią, więc co im po naszej przyjaźni?

U nas jakoś niczego z niczym połączyć się nie udaje. Jak gospodarka jako tako, to wypaczamy politykę, jak znów znajdziemy drogę do demokracji, to cukru i „popularnych” brakuje. Jak nie partia to „Solidarność”. Nie kijem go to pałką!...

Taki motorniczy, człowiek prosty, a jeszcze cokolwiek połączyć potrafi. Na kracówkach podobno gra w pokera. Na ostro. O dużej stawki. Łączy w ten sposób pracę z zarobkiem. Oczywiście jeśli wygrywa. Ale jakie to ryzyko! Ile musi nasłuchiwać się od zadroszczących mu pomysłu pasażerów! Gdzie tam motorniczemu do Koreańczyka! Do Japończyka ponoć jeszcze dalej. A już nadszedł nam od jednego do drugiego Polaka!...

Smutno mi się zrobiło, markotnie, przytłukłem więc pierwszymi drzwiami tramwaju wyblądzonego młodzieńca z plecakiem. Ja sobie użyłem, a on nauczył się wsiadać właściwymi drzwiami. Też połączenie. A co! Zaraz na duszy złej, przejrzyjciej światłej. I wreszcie przyszło ośnienie. Udało się! Polak potrafi! Połączył plakat francuskiego filmu „W imię przyjaźni” z reklamą Przedsiębiorstwa Eksportu Wewnętrzznego „Pewex”. Spryciarze! Dopiero za czwartym razem się doczytałem.

ANDRZEJ KRAKOWSKI

POLECAMY — PRZYPOMINAMY!

DO 31 LIPCA 1989 ROKU należy wysłać do Kielc zestaw trzech wierszy w 5 egzemplarzach, aby wziąć udział w konkursie poetyckim „O Świętokrzyską Lirę Poezji”. Udział w konkursie mogą brać młodzie poeci nie zrzeszeni w ZLP (powinno być również w Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich — red.) oraz ci, którzy w poprzednich edycjach konkursu nie otrzymali nagrody głównej. Wiersze muszą być opatrzone godłem i w kopercie tym samym godłem oznaczonej dokładne dane autora. Pierwsza nagroda — 30.000 zł. Zestaw wierszy należy nadsyłać pod adresem: Komisja Kultury ZW ZSMP, ul. Stanisława Staszica 1, 25-008 Kielce, z dopiskiem: „O Świętokrzyską Lirę Poezji”.

MŁODZIEŻOWA AGENCJA WYDAWNICZA — Redakcja Młodego Ruchu Artystycznego i Debiutów przypomina, że 31 października 1989 roku upływa termin nadsyłania prac do „Almanachu Młodych 88-89”. Objętość tekstu nie może przekraczać 22 stron znormalizowanego maszynopisu albo 10 utworów poetyckich. Do tekstu powinna być dołączona nota biograficzna. Almanach będzie ilustrowany rysunkami młodych artystów, a teksty poprośzone krytycznym komentarzem i zaopatrzone w dane biograficzne autora. Teksty należy nadsyłać pod adresem: MAW, al. Stanów Zjednoczonych 53, 04-028 Warszawa, z dopiskiem „Almanach Młodych”.

DZIĘKUJEMY! NIE SKORZYSTAMY.

Naszych Korespondentów informujemy, że nie skorzystamy z tekstów następujących autorów:

- CZESŁAWA ŻYLIŃSKIEGO kilka uwag prostujących różne potknięcia, z powodu braku miejsca;
- WŁADYSŁAWA STĘPNIA o trzęsieniu ziemi w Armenii — podobnie, z powodu braku miejsca;
- BOGDANA BANASIĄKA nawołującego do założenia Towarzystwa im. markiza D.A.F. de Sade — również z powodu braku miejsca;
- MIECYSŁAWA KOZAKA o drzewach na dachu, pisaliśmy o tym przed kilkoma tygodniami;

— JÓZEFA KOZŁOWSKIEGO z Kuluszek dlatego, że „zapomniał” podać adresu, a nie drukujemy tekstów, których autorzy nie podają imienia, nazwiska i adresu (można zastrzec, że tylko do wiadomości redakcji);

— ANDRZEJA HENIUKA o sytuacji na Radogoszczu — Wschodzie, gdyż nie można w nieskończoność ciągnąć dyskusji na ten sam temat.

Dziękujemy! Przepraszamy.

UWAGA

tylko do 31 sierpnia br.
NOWE ATRAKCYJNE CENY

Artykuły Przemysłowe,
Tekstylna-Odzieżowe

TANIEJ
do 30 proc.

Szczegóły w sklepach.



CENTRALNY OKRĘG ENERGETYCZNY ELEKTROWNIA BEŁCHATÓW

Z SIEDZIBĄ W ROGOWCU
97 406 BEŁCHATÓW 5

PRZYJMIE DO PRACY

pracowników w następujących zawodach:

- ▲ ENERGETYKÓW z wykształceniem średnim lub zasadniczym do pracy w systemie 4-brygadowym,
- ▲ MURARZY KOTŁOWYCH,
- ▲ MONTERÓW IZOLACJI TERMICZNEJ,
- ▲ SZKLARZY,
- ▲ MONTERÓW SPAWACZY,
- ▲ ABSOLWENTÓW SZKÓŁ ZAWODOWYCH I SZKÓŁ o kierunku łączności lub elektronika.

Przedsiębiorstwo zapewnia:

- konkurencyjne płace wg zakładowego systemu wynagrodzeń, dodatek bełchatowski, zniżkę w opłatach za energię elektryczną i szeroki wachlarz świadczeń socjalnych.

Informacji udziela Dz. Kadr Elektrowni — tel. 715-61 lub na miejscu. Dojazd z Bełchatowa autobusem spod Hotelu „Energetyk”, godz. 8.57, 10.57, 12.07, 13.18.

4865-1

2583-k



INTEX BIURO TURYSTYKI ZAGRANICZNEJ



Organizuje

7-DNIOWE WYCIECZKI samolotowo-autokarowe do TURCJI. Przelot na trasie GDAŃSK —BURGAS—GDAŃSK, przejazd autobusem do STAMBUŁU i z powrotem. Noclegi w hotelach 1 i 2-gwiazdkowych w centrum STAMBUŁU (AKSARAY). Śniadanie wliczone w koszty.
CENA: 198.000 zł + 45 USD

— 16-dniowe wycieczki do INDII i NEPAŁU
1-dniowy pobyt w DELHI i 3-dniowy w KATMANDU

CENA: 464.000 zł + 330 USD

Informacje i zapisy od poniedziałku do piątku w godz. 9—17.

ŁÓDŹ ul. Piotrkowska 15

Telefon: 32-49-44

WARSZAWA

ul. Marchlewskiego 63

tel. 31-81-84

SÓPOL ul. Powstańców

Warszawy 6

Telefon: 51-03-30

51-59-84

Tlx 0512298 itex

Telefax 51-25-40 inter

2586-K



Międzynarodowy Dworzec Kolejowy Łódź-Chojny. Ta butna i pyszałkowata nazwa tak się ma do smętnej rzeczywistości chojeńskiego przystanku PKP — pozostając przy realiach krajowych — jak hotel „Victoria” do konstrukcji wiejskiego wychodka w Mieczkowcach. Budynek stacyjny różni się tym od westernowych budowli kolejowych, znanych choćby z filmów „W samo południe” czy „15.10 do Yumy”, że jest nieco większy i murowany. Gdyby częstotliwość ruchu pociągów była taka, jak w pionierskich czasach Dzikiego Zachodu, wszystko byłoby w porządku. Tak jednak nie jest.

Przez dworzec Łódź-Chojny przejeżdża w ciągu doby kilkadziesiąt pociągów osobowych, w tym kilkanaście międzynarodowych, jadących na wschód, zachód i południe Europy. O towarowych nie wspomnę, choć też stanowią niemałą ilość. Pasażerowie tras europejskich, którzy nie wiedzą, że Łódź jest drugim co do wielkości miastem w Polsce, potraktują ponurą, martwą stację jako przedsmak egzotyki wschodniej Europy. Ci, którzy znają rangę miasta, zdziwią się niepomniernie widokiem całkiem niewielkiego dworcowiczka, jeśli jednak znają co nieco specyfikę polską — nic ich nie potrafi zadziwić.

Gdy rozpoczęto — planowaną kilka lat wcześniej — generalną przebudowę Dworca Kaliskiego, przesunięto dodatkowo wiele pociągów na Chojny, ku utraپieniu podróży kończących jazdę w Łodzi, bądź mających w perspektywie oczekiwanie na przesiadkę. Po pierwsze — nie ma czym wydostać się z dworca. Tabliczka z napisem: „Postój taxi” nie zastąpi pojazdu, a nie zdarzyło mi się widzieć tam w ciągu wielu lat podróżowania taksówki przy postojuowym słupku. Pół biedy, jeśli bagażem naszym jest teczką-aktówką lub plecak — można wtedy dojść do pętli tramwajowej i dojechać z trudem lub bez trudu gdzie trzeba. Gorzej, gdy piętrzy się przed bezradnym podróżnym góra bagażu. Wtedy trzeba zdać się na cud lub uprzejmość współpasażerów, co często na jedno wychodzi.

Oczekiwanie na przesiadkę, to kara za grzechy własne i cudze. W poczekalni ławy są twarde, a zimno zimno jak diabeł. Niedawno mały korytarzyk, kiedyś wejście do budynku, zamieniono na namiastkę poczekalni dla matek z dziećmi, wstawiając tam, z inicjatywą załogi stacji, stolicek i kilka krzeseł, co i tak stanowi kropkę w morzu potrzeb. Dyżurna ruchu, często litując się nad dziećmi i ich matkami, pozwala rozgościć się im

Łódź-Chojny: — Nazwa „Międzynarodowy dworzec” brzmi jak szyderstwo i pośmiewisko?

Skandal nie dworzec

w pomieszczeniu służbowym, łamiąc tym surowe przepisy kolejowe. Bufet przez kilka ostatnich tygodni był nieczynny, bo agent — po prostu — przestał sobie pracować. Zawiadowca stacji powiadamiał kilkakrotnie (na piśmie, a także) dyrekcję „Warsu” o sytuacji, lecz bez skutku. Wymógł dopiero kategorycznym „albo-albo” komisję otwarcie bufetu i zatrudnienie nowego agenta. Gdyby nie ten rodzaj szantażu, dyrekcja, zajęta niezmiennie od lat pracą nad ulepszeniem metod dogadzania swoim klientom, nie zwróciła uwagi w natłoku spraw ważnych na monity zawiadowcy stacji i bufet długo, długo zamknięty byłby naглуcho.

Dziś odpowiedni napis kategorycznie przypomina, że kto skonsultował, niech się wynosi, bo bufet to nie poczekalnia. Lepszy jednak rydz niż nic. A swoją drogą, ktoś przecież, wiedząc, że dworzec Chojny na wiele lat przejmie dodatkowe obowiązki, mógł pomyśleć o budowie np. pawilonu gastronomicznego, czy rozbudowie starego budynku. Istnieje nawet w Łodzi specjalne Biuro Projektów Rozwoju Kolejnictwa. Istnieje — i co z tego?

Stary budynek sypie się w sposób widoczny gołym okiem, choć ostatni remont przeprowadzono dwa lata temu. Odpadają przemoczone deszczem tynki, wypacza się stolarka. Sam piach i woda długo nie utrzyma elewacji, co dzisiaj widać wyraźnie. I za to też nikt nie odpowie?

Przybyło pociągów, a więc i obowiązków, a dyrekcja nie do dała i tak wątpliwość ekipie stacyjnej żadnego etatu. Dyżurny ruchu musi więc przyjmować i odprawiać pociągi (osobowe i towarowe), zapowiadać je przez megafon, wypisywać sterty raportów (więcej ma teraz pisaniny niż jakiegokolwiek innej roboty), a także, od pewnego czasu, udzielać informacji podróżnym. I to wcale nie wszystko. Jeszcze teleksy, telefony, sprawy nagłe, nieprzewidziane i inne, w które nie wolno wtajemniczać postronnych. A wszystko to robić musi w niewielkiej kłitce, dusznej i ciasnej, gdzie na dodatek z jednej strony wyrasta liszajem grzyb, a z drugiej zapada się podłoga, grożąc nieostrożnemu, zabiegającemu pracownikowi złamaniem nogi. Pomieszczenie to również było remontowane dwa lata temu, a wygląda, jakby od wojny nikt się nim nie interesował. Z konieczności więc przenosi się do serca stacji do wąskiego korytarzyka, wyrzucając zeń namiastkę poczekalni, bo kolejna ekipa remontowa będzie poprawiała fuszerkę poprzednią. A że nie widać stąd peronów i trzeba będzie zrywać boazerię pod przewody i gniazda telefoniczne, to drobiazg, prawda?

Przed Targami „Interfashion” przyszyły z dyrektorskich wyżyn srogie zalecenia, by ponaprawiać perony, uzupełniać wykradzione umywalki z klozetu publicznego i w ogóle podszkoczyć dworzec, żeby był piękny na przywitanie zagranicznych gości. Zalecenia poważnej dyrekcji, to jedno, a możliwości ich wykonania, to „inśza inśsość”. Z wysokości biurowych i biurkowych stanowisk nie widać codziennie beznadziei, a żadne, najsurowsze nawet zalecenia, nie poparte dodatkowymi funduszami czy etatami nie uczynią cudu. Już wielki Salomon nie napelniał pustego próżnym.

— Nie odwołam pracownika z brygady torowej czy innej, by pilnował kibla — mówi zawiadowca stacji. — Niech mi dadzą etat babki klozetowej, to będzie czysto i nikt niezgo nie ukradnie. Już teraz mam kłopot z pracownikami, bo mi ich podkupa Olechów lepszą placą, choć obie stacje podlegały tej samej dyrekcji. My tu zarabiamy bardzo mało i jeśli nie się nie zmieni na korzyść, złożę rezygnację. W ogóle nie widać żadnej dbałości o dworzec ze strony dyrekcji. Nie planuję się żadnych inwestycji. Tylko provizorka i odwolywanie się do honoru kolejarza. Łódź robiła co mogła, poświęcając się rzeczywiście, ale coraz bliżej są granicy wytrzymałości.

Ala tego spod dyrektorskich niebios nie widać. Zdumiewająca jest niefrasobliwość ludzi, wydawałoby się, odpowiedzialnych.

Przewidując, iż napłyną do redakcji listy od tzw. czynników, bądź to pełne oburzenia, bądź podziękujące za troskę o los dworca, lecz wskazujące na setki przyczyn bezradności, ale i niekwestionowanych osiągnięć w czterdziestoparoletnim powojennym, z góry uprzedzam, że pozostaną one bez odpowiedzi z mojej strony. Szkoda mi będzie czasu i energii na wymyślanie odpowiedzi. Niech inni biją pianę. Jedyną odpowiedzią natomiast, i to ze strony zainteresowanych, winno być jak najszybsze podjęcie konkretnych działań, zmierzających w kierunku stworzenia nieszczerzy podróżnym zmuszonemu pechowo do korzystania z dobrodziejstw dworca Łódź-Chojny, elementarnych wygód, pracowników stacji normalnych warunków pracy, nie mówiąc już o wypełnieniu treści (rozumianą po europejsku) nazwy „Międzynarodowy Dworzec”, co dziś brzmi jak szyderstwo i pośmiewisko.

MAREK KOPROWSKI

1

Nie chcę być oryginalny...

Sądzę, że w chwili obecnej, by zabawić trochę czytelników wystarczyłoby pisać komentarze polityczne. Tylko by owe artykuły były śmieszne, trzeba aby dziennikarz, który obserwuje rzeczywistość, kierował się logiką, realizmem, a to co napisze powinno być jeszcze śmiertelnie poważne. Gwarantuję, że o czym by nie napisał po trzech dniach zmieni się to diametralnie, a wszystko nastąpi wbrew jakimkolwiek zasadom logiki i kto przeczyta taki tekst, będzie miał ubaw po pachy. Oczywiście redakcja musiałaby znaleźć śmiałość, który zdecydowałby się na pełnienie takiej niezbyt przecież przyjemnej roli. Wystawiać siebie na pośmiewisko to, przynajmniej sami, rzecz mało zachęcająca. Ale byłaby z tego jedna niezaprzeczalna korzyść, oto bowiem przy jednym ogniu można byłoby upiec dwie pieczenie. Bo po pierwsze — pisałoby się o problemach poważnych, a po drugie — wszyscy mieliby rozrywkę.

Ostatnio, kogo spotykam z moich znajomych mówi, bym przestał się wygłupiać i nie pisał już w felietonach o jakichś błahych rzeczach, bo przecież w końcu dzieje się tyle skomplikowanych spraw, które aż się proszą, aby się nimi zająć. Ty jednak jakbyś tego nie dostrzegał (wysuwają dalsze argumenty) i piesz o tym, że potrzeba jest na przykład literatury brukowej, a przy braku z papierem to zaiste pomysł znakomity, albo ogłaszasz jakieś konkursy, zakładasz bezsensowne partie polityczne (to, że wielu z nich w spotkaniu założycielskim uczestniczyło pomijając jakos milczenie), lub zastanawiasz się, od kogo jesteś zależny. I żeby tego wszystkiego było jeszcze mało, to na dodatek redaktor twierdzi, że moje pisanie nie jest zbyt oryginalne. Co prawda oryginałów w naszym życiu politycznym i prasie zatrzęsienie, ale to już zupełnie inny temat.

Wziąłem sobie jednak do serca wszystkie te narzekania (Czytelnik nasz Pan) i postanowiłem dzisiaj być oryginalny i bardzo poważny.

Uwaga, zaczynam: Otóż sądzę, że za kilka lat Polska stanie się normalnym krajem. Przewidywanie teraz wszystkiego najgorszego nie jest zajęciem zbyt trudnym. Dlatego też nie robię tego. I dalej: sklepy będą pełne najprzeróżniejszych towarów, ulice będą czyste, w autobusach i tramwajach nie będzie tłoku, ponieważ dużo obywateli będzie stać na kupienie własnego samochodu. Wszyscy będą mieć mieszkania, pociągi nie będą się spóźniały, urzędnicy będą mili, a ludzie uśmiechnięci i zadowoleni. I jeśli zdarzy się cud, że tak się stanie, w tym miejscu muszę powiedzieć otwarcie, to ja osobiście w cuda wierzę. Dlatego ci wszyscy, którzy czytają te słowa, a na ich twarzach pojawia się grymas niedowierzania, niech uważają, bo to, co piszę, jest całkowicie wbrew logice i właśnie dlatego może się sprawdzić. I wtedy będzie głupio, ale nie żal, bo ja jako jedyny w kraju to przewidziałem. Nie wiem tylko, jaka będzie obowiązywała waluta, ani jakie będą nazwiska premiera i prezydenta przyszłego

zrządu, ale w końcu jasnowidzem to ja nie jestem. Poczekajmy więc a wszystkiego się dowiemy.

Szkoda tylko, że część dziennikarzy, która przez te lata przywykła do krytycznego pisanie, nie będzie mogła przyzwyczaić się do nowych, zupełnie innych realiów i straci pracę. No, ale trudno, jakieś konsekwencje być muszą. Ja natomiast, jeśli dane mi będzie pisać, napiszę kasandryczny felieton, w którym przedstawie wizję końca dobrobytu, w jakim znalazł się kraj, a zakończę go (felieton oczywiście) słowami: nic przecież nie trwa wiecznie. I wtedy również nikt nie potraktuje tego poważnie.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

2

Lewym okiem

Kto wreszcie zacznie?

Logika, czyli nauka o poprawnym myśleniu, jest narzędziem bardzo precyzyjnym i ostrym jak lancet. Weźmy taki przykład: nietoperze „żywią się krwią ludzką”. To nieprawda. „Nietoperze wkreczają się kobietom we włosy” — to też nieprawda. „Wobec tego po zmroku kobiety powinny wychodzić z domu wyłącznie w chustkach na głowach”. Jest to wniosek wyciągnięty z dwóch poprzednich sądów. Wniosek jest wyciągnięty logicznie, choć oba sądy były nieprawdziwe.

Bywa też odwrotnie: na przykład „Przedsiębiorstwa wytwarzające przedmioty niezbędne dla gospodarki narodowej, a nierentowne, otrzymują dotacje państwowe”. Jest to sąd prawdziwy. „Kopalnia siarki w Tarnobrzegu (nie znam pełnej, oficjalnej nazwy przedsiębiorstwa) pracuje z rentownością 48 procent”. To jest również sąd prawdziwy. Z tych dwóch sądów prawdziwych wyciągam wniosek: „Siarka otrzymuje 200 miliardów złotych dotacji rocznie”. Z dwóch sądów prawdziwych wyciągnięto wniosek sprzeczny z logiką, chociaż też prawdziwy.

Tę informację o siarce podała redakcja Jerzy Kowalski 22 czerwca w radiu w audycji pt. „Problem dnia”. Usłyszało tę wiadomość na pewno setki tysięcy ludzi w kraju — i co? I nic się nie dzieje.

Kiedy indziej tenże redaktor Jerzy Kowalski poinformował słuchaczy, że należność za roznoszenie mleka do domów dzielona jest pomiędzy spółdzielnię a roznosiela, przy czym spółdzielnia zatrzymuje 70 procent należności a roznosiela dostaje tylko 30 procent. I znowu nic się nie dzieje, tylko nikt nie roznosi mleka.

Jeżeli to, co mówi redaktor Jerzy Kowalski jest nieścisłe, to siarka powinna natychmiast zareagować sprostowaniem we wszystkich środkach masowego przekazu. Jeżeli nie wiadomo, czy jest ściśle to po wspomnianej audycji wszystkie pisma, radio, obydwa pro-

gramy telewizji, trybuna sejmowa powinny zabrznieć tyślącym interpelacji: co to jest, co tam się dzieje, czym by to można uzasadnić? — panowie ekonomiści. Przecież ludzie potrafią myśleć logicznie...

Jeżeli wiadomo odpowiednim miarodajnym czynnikiem, że informacje redaktora Jerzego Kowalskiego są ściśle i prawdziwe, a żaden organ opinii publicznej nie reaguje, nikt nikogo nie pociąga na dywanik, życie toczy się dalej, raczej nie toczy się, tylko kuśtyka po coraz twardszej gruzdzie, to świadczy to, że ogarnął nas wszystkich jakiś nieuleczalny już tumiwizm i że godzimy się na trwanie w rzeczywistości nielogicznej.

To bardzo ważne, żeby ujaawnić bez pardonu wszystkie nasze błędy, bzdury, głupstwa, niebyswale kosztowną niekompetencję, ale niemniej ważne, żeby to ujawnianie stanowiło asumpt do naprawy wszystkiego, co zaniebane, spaprane, zlekceważone. No i żeby ten asumpt ruszył wreszcie czyjeś sumienie, żeby ktoś podjął rzuconą mu rękawicę, żeby nie okazywało się ciągle, że rękawice rzucające są nie wiadomo komu. Kto wreszcie zacznie podejmować takie wyzwania?

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3

Radni piszą list do ministra

Gdy zaporoscy Kozacy pisali list do tureckiego sultana Ilji Riepina przy tym nie było. On to sobie wyobraził. O braz ten malował bowiem w latach 1878-1891. Ale dzięki wyobraźni Ilji Riepina obraz stał się sławny i wszyscy, którzy go widzieli, wiedzą jak to wyglądało.

Gdy radni Rady Narodowej Miasta Łodzi z Komisji Handlu i Ochrony Konsumenta pisali listy do ministra rynku wewnętrznego nie było przy tym ani malarzy, ani fotoreportera nawet i nikt sobie tego nie potrafił wyobrazić. I nie musi zresztą, bo dzienniki już o tym informowały, a pełny tekst tego listu powędrował niewątpliwie do Warszawy. Czy spełni oczekiwania w nim pokładane?

Kilka dni temu moja znajoma zapytała mnie, czy to możliwe, aby dom towarowy, w którym pracuje około 90 osób był zamknięty z powodu... choroby personelu? Odpowiedziałem, że to raczej niemożliwe, chyba że zapanowała epidemia. Jakoś o żadnej epidemii w Łodzi nie słyszałem. Jest to chyba pierwszy lepszy powód jaki podano, bo przecież musi być jakiś powód, kiedy zamyka się sklep. Na ogół sklepy są nie tylko po to, aby sprzedawano w nich ludziom różne towary, ale i po to, aby ludzie w nich pracujący zarabiali na tym. Jeśli sklep jest zamknięty, to nie ma zarobku. Nikomu to się nie powinno opłacać. A jednak. W Łodzi ostatnio wiele sklepów pozamykano lub skrócono czas ich pracy a to z powodu choroby personelu, urlopów albo remontów. Gdy nie ma co sprzedawać, to najlepiej zamknąć sklep, albo skierować do remontu. Taki zabieg taktyczny...

Innym razem ktoś mi usiłował wmówić, że Łódź potrzebuje jest natychmiast prezydent, bo miasto jest zaniedbane, brudne i potrzebuje ręki dobrego gospodarza. Zgadza się, że miastu potrzebny jest gospodarz, ale nie sądzę, aby najsprawniejszy człowiek — tytan pracy i talentu — mógł sam podolać kłopotom, jakie miasto przyniesie każdemu nowemu prezydentowi. Trzeba tu bowiem wiele rzeczy przebudować, postawić na nogach, zmienić zasady działania, pobudzić inicjatywę, dać ludziom możliwość zarobienia i dorobienia się. Interes ludzi musi wiązać się z interesem miasta. Innej drogi postępowania nie ma.

Wiemy, że ostatnio — a to ostatnio trwa już od dłuższego czasu — zaopatrzenie sklepów jest w Łodzi fatalne, żeby nie powiedzieć skandaliczne. Wiemy, że był tu minister rynku wewnętrznego, pogroził palcem i nic się nie zmieniło. A nawet można powiedzieć, że się pogorszyło. No i teraz bezradni radni napisali list. „Niewystarczająca podaż artykułów żywnościowych stwarza niezadowolenie społeczeństwa i w pośredni sposób powoduje zmniejszenie aktywności zawodowej i obywatelskiej” — tak napisali radni, którzy przyznają, że zdaniem ich wyborców „w sposób widoczny nie chronią konsumentów, nie walczą o żywność dla tak przecież przemysłowego miasta”. Radni stwierdzają dalej, że nie chcą „dopuszczać do tego, aby Łódź stała się województwem zamkniętym, które ograniczy produkcję artykułów przemysłowych do ilości niezbędnej dla jego mieszkańców, a kosztem tego zmniejszenia rozwoju produkcji artykułów żywnościowych zabezpieczających potrzeby województwa”. Radni oczekują więc, że minister rynku wewnętrznego jeszcze raz przyjedzie do Łodzi, zobaczy jak tu jest i spotka się z Komisją Handlu i Ochrony Konsumenta RNML. Spodziewają się, że w wyniku tego spotkania zwiększą się dostawy dla Łodzi.

Rozumiem desperację radnych z Komisji Handlu i Ochrony Konsumenta RNML. Mają oni w końcu obowiązek chronić tego konsumenta, w którym budzi się gniew, że nie może nie kupić. Ale, czy przy obecnej organizacji tego, co zwykliśmy nazywać handlem, a co jest trwale biurokratyzowane, pisanie listów może być atrakcyjne, ale nieskuteczne. Jeśli moje zakupy zależą od pomysłu, na jaki wpadnie sam minister, to nie jestem wcale pewny, czy coś zdołam kupić. Minister rynku wewnętrznego może być nawet geniuszem, ale nie potrafi zrobić tego, co powinni zrobić kierownicy sklepów, hurtowni i dyrektorzy przedsiębiorstw handlowych. W końcu ilość chleba, maki, cukru, twarogów, jajek, drobiu, drożdży, napojów chłodzących i innych towarów w jednym sklepie na Górnej w Łodzi nie może zależeć tylko od ministra. Minister nie ma nawet prawa wiedzieć o istnieniu tego sklepu. Cała odpowiedzialność powinna spoczywać tylko i wyłącznie na kierowniku sklepu. A dzieje się tak, że to on na ogół czeka, co jemu przywiozą i kiedy przywiozą.

Proszę sobie przypomnieć codzienną rozmowę w każdym niemal sklepie:

— Jest twaróg?

— Nie ma.

— Kiedy będzie?

— Nie wiemy, jak przywiozą.

Zamiast twarogu można wstawić każdy inny artykuł spożywczy — i nie tylko — i rozmowa będzie nadal całkowicie prawdziwa. A przecież właśnie w sklepie powinni wiedzieć, czego nie ma, dlaczego nie ma i kiedy będzie. Kupiec z prawdziwego zdarzenia nie wypuści klienta ze sklepu, jeśli nie zapewnił sobie — przynajmniej teoretycznie — jego powrotu. Kupiec bez klienta nie istnieje. Ale u nas nie ma kupców, a jeśli są, to wyjątki, które nie mogą z tego co jest uczynić handlu. I pisanie listów tego się nie zmieni. Niestety.

ZENON POROWATY

Kalina starała się o pracę, a nie była to łatwa sprawa. Konkurencja duża, a jeśli już coś się trafiło, to trzeba było przyrzec się propozycji uważnie, żeby nie wyglądać w ślepym załuku. Można było trafić na firmę, z której po trzech latach człowiek wychodził w takim samym stanie, w jakim przyszedł, żaden rozwój. Na razie jednak takiej groźby nie było. Bo nie było pracy. Kalina szczykowała się na wejście w jakikolwiek układ, byle się zaczęło. Ale jej oferty odsyłano z grzecznymi podziękowaniami.

Minęło kilka tygodni. Jan Duch zdenerwował się w końcu.

— Słuchaj, słyszałem, że w dawnych czasach ludzie po ślubie wyjeżdżali na miesiąc miodowy. Dlaczego mamy sobie tego odmawiać?

— Nie mogę się ruszyć, dopóki nie załatwię pracy — powiedziała Kalina. — Może coś się zdarzy właśnie w czasie, kiedy mnie nie będzie. Teraz absolwenci z mojego roku chcą wyprzedzić jeden drugiego. Trzeba tu być, chodzić, telefonować... Rozumiesz przecież.

— Nie ma mowy — powiedział. — Jak zacznieś pracować, to minie rok, zanim dostaniesz urlop. Nie każdy może mieć taką robotę jak ja, mogę odskoczyć kiedy chcę, wrócić kiedy chcę. Jak mnie nie ma, to nie zarabiam, tylko ty. Ale żaden szef mi nad głową nie stoi. Szykuj się.

Kalina się upierała. Nie chciała tracić szansy. Jan Duch widział sprawę inaczej.

— Im więcej lażysz i prosisz o interwju, tym niechętniej cię widzą. Zrób tak: wyslij swoje „resumé” do najlepszych firm, które cię interesują, i napisz, że będziesz gotowa do rozmowy za dwa miesiące, bo w tej chwili wywiązuje się z uprzednio podjętych zobowiązań. To zrobi dobre wrażenie. Pomyśl, że masz już pracę i że przewidując starasz się o nową już kilka miesięcy naprzód.

Pomyśli nieży, podobał się Kalinie, choć nie bardzo wierzyła w jego skuteczność. Duch postarał się o spis wszystkich interesujących Kalinę firm w całej Kanadzie.

Kalina rozesała kilkadziesiąt kopert z curriculum i ofertą do różnych miejscowości tego ogromnego kraju. I wtedy Duch zapytał:

— Dokąd chcesz jechać? Do Afryki, na wyspy Karaibskie, do Australii, czy do Europy? Mam dwa miesiące czasu i dziesięć tysięcy dolarów do wydania. Wybieraj.

Sprawa była prosta. Dla Kaliny istniał tylko jeden kierunek: Europa. Następnego dnia pojechali na lotnisko, kupili bilety do Paryża i w godzinę później byli już w wietrz.

Jan Duch znał nieźle Europę, ale Kalina wcale. Przyjechała do Kanady jako młoda dziewczyna, w odwiedziny do ciotki. Płynęła „Batorem” i po drodze widziała przez kilka godzin Kopenhagę, Marzylia o Italii i Grecji, ponieważ fascynowała ją starożytna kultura.

Na Le Bourget, bo tam jeszcze latały wówczas samoloty z Kanady, Duch wynajął samochód i zaczął się trasą po Europie, podczas której zwiedzili siedem krajów i przejechali dziesięć tysięcy kilometrów. Tempo amerykańskie, ale na tym polegała zabawa. Śniadanie w Monachium, obiad w Wenecji, kolacja w Rzymie. Albo rano Nicea, wieczorem Avignon. Tydzień w Alasio, dwa dni w Portofino, trzy w Ciny. Austria, Niemcy, Luksemburg. We Francji lecieli szlakiem winnic i Duch bez przerwy był prawie pijany, jedna nie kłóczyła się degustacja. W Asyżu kochali się na łożu z szesnastego stulecia, o czterometrowej szerokości. W Wenecji mieszkali w luksusowym hotelu, na którego ścianach wymalowano czerwoną farbą gwiazdy, mioty i sierpy. Europa wówczas była jeszcze bardzo tania dla człowieka z tamtej strony kaluży.

Duchowi najbardziej podobano się w Niemczech, ponieważ nie istniały tam limity szybkości na highwayach. Wynajął duże BMW, więc często jeździł dwieście na godzinę, a nawet więcej. W Stanach obowiązywało mordercze dziesięćdziesiąt („double nickel”, czyli 55 mil), a w Kanadzie niewiele lepsze sto. Pewnego dnia obudzili się w hotelu w Salzburgu i pomyślał o Georgii. Jak ona żyje?

— Odwiedzimy Georgię, Kalina?

— Jak chcesz — powiedzia-

ANDRZEJ BRYCHT

Azyl polityczny

Część II

(25)

Jak daleko do stacji Happy end?

Ja. Niby z lekką niechęcią, ale sama była ciekawa tej legendarnej superdziwki.

Duch podniósł słuchawkę i po chwili rozmawiał z pokojówką. Pani przebywała w Paryżu. Otrzymał numer i za chwilę usłyszał głos Georgii.

Ucieszyła się niesłychanie. Wydawało się, że zaraz potknę się słuchawką. Szczególnie podnieciła ją wiadomość, że Duch przyjechał z nową żoną. Będzie przed kim pokazać klasę! Więc państwo Duchowia wskoczyli w samochód i po południu spotkali się z Georgią w Paryżu.

Uściskom i pocałunkom nie było końca. Georgia wyglądała wspaniale. Miała czas, żeby się przygotować. Okazując bezmiar uczuć Duchowi chciała pokazać tej nowej, kto tu wciąż jeszcze jest szefem gospodarstwa.

Wieczór spędzili w posiadłości Georgii pod Paryżem. No, co tu mówić. Trzeba mieć dużo pieniędzy, i to „starych pieniędzy”, od kilkuset lat, żeby żyć tak, jak ludzie typu Jean-Bertholda. Żaden nowobogacki nie stworzy takiej atmosfery, nie wywoła poczucia takiej świadomości i piękna, wynikającego z proporcji i koloru. Do stworzenia takiej rezydencji trzeba być arystokratą — i to nie baronem, kupującym tytuł za forszę z pędzenia wódki, piwa czy winna, w czym celowali zachodnioeuropejscy Żydzi — tylko prawdziwym, białym arystokratą. To jest Europa, to jest to.

Otoczenie boskie — a w środku? Duch wciąż pamiętał to trzęsienie, kiedy w haitańskim hotelu Georgia walnęła narzeczonego w mordę. Pamiętał jego zapłakaną twarz. To taki gatunek mężczyzny wyhodował europejski estetyzm?

W istocie. Fajdali znakomite fondue, pili świetne wino, a potem w salonie przegadali połowę nocy i Jean-Berthold obnażył swoje delikatne wnętrze. Mówił po angielsku powoli i ładnie, i tym miłym tonem wyjawiał Janowi tajemnice współzycia z Georgią. Szukał rady u Johna, spodziewał się, że Duch odkryje przed nim tajemnice postępowania z dziką dziewczyną.

Ona rzuca się na wszystko, co żyje — mówił półgłosem, żeby rozmawiające w drugim końcu salonu kobiety nie słyszały. One zresztą też rozmawiały półgłosem i Duch nadstawiał ucha, żeby usłyszeć chociaż jedno słowo. Ale cięcha muzyka skutecznie pokrywała wszystko.

Zaczęło się od nauki francuskiego — ciągnął Jean-Berthold. — Najlepsza metoda nauki to taka, gdy nauczyciel spędza z uczniem czas od rana do nocy, uczestniczy w jego codziennym życiu, razem robią zakupy, chodzą do kina i teatru, jedzą w restauracjach, podróżują. Wystarczy trzy miesiące takiej nauki i uczeń włada językiem w sposób prawie doskonały. Zafundowałem Georgii znakomitego nauczyciela, młodego, przystojnego, wysoki, nie chciałem bowiem, żeby czuła się zażenowana wśród ludzi, że pokazuje się z białym łapciuchem. Wszystko szło dobrze, po dwóch miesiącach rozmawialiśmy po francusku bez problemów, dziwiłem się, że ona taka zdolna. Aż któregoś nocy w łóżku zaczęła posługiwać się sformułowaniami, których ja nigdy podczas seksu nie używam. Była bardzo podniecona i zupełnie się nie kontrolowała. Dawała mi rozmaite perwersyjne rozkazy, wykrykiwała jakieś dewiacyjne bluźnierstwa, skąd ona się tego nauczyła? Myślałem, że przeczytała jakiś miesięcznik pornograficzny. Aż po kilku następnych tygodniach, kiedy już naprawdę mówiła znakomicie, postanowiłem zwolnić nauczyciela. Zaprotestowała. Twierdziła, że dużo jeszcze musi się nauczyć. Od tej chwili zaczęłam ich śledzić i nakryłem ich w tamim hoteliku w okolicach Grand Place! Wynajmowali te nory na godzinę i pieprzyli się codziennie!

Jean-Berthold z oburzeniem

spojrzał na Duchę, który wybuchnął śmiechem. Sam był bliski też z poczucia doznanej krzywdy.

— Don't worry — powiedział Duch. — Nie przejmuj się. Ona cię kocha. Dla niej seks znaczy tyle, co wypicie kieliszka wina. To nie ma nic wspólnego z miłością.

— Szkoda mówić. A czy wiesz, co ona zrobiła ze swoim psychoanalitykiem?

— Ale rozmowa została przerwana. Georgia pomyślała, że jej mąż chyba za dużo na jej temat mówi i zaproponowała wspólną rozmowę. Dopiero na drugi dzień, kiedy zostali sami — oprowadzała go po swoich stajniach — Georgia opowiedziała mu historię z psychoanalitykiem.

Jean-Berthold chciał mnie zmienić, wytrzebić ze mnie wszystkie pozostałości dawne. Rodzinny psychiatra polecił mu nową gwiazdę na rynku psychoanalizy, był to przystojny gość w średnim wieku, bardzo pewny siebie. Zgodziłam się na kilka próbnych seansów, bo zawsze jestem wszystkim ciekawa. Więc on najpierw kazał mi kłaść się na kanapie i opowiadać o dzieciństwie, tak od początków mojej pamięci. Potem coraz dalej, aż doszło do rozmów o seksie. Ten uczone i diuta starał się mi udowodnić, że jestem seksualnie zestresowana, że zazdroścę mężczyznom chujów, że każde pojęcie do łóżka jest wyrazem agresji, walki, w której spodziewam się męczyzny pokonać, sama jakby stając się przez to męczyzną.

— Wcale niegłupi facet — powiedział Duch, odskakując, bo jeden z mijanych kmi miał właśnie ochotę go ugrzyć.

Georgia uderzyła pleconym pejem po swoich wysokich butach do konnej jazdy. — Zaraz zobaczysz, jaki mądry. Wkurwiał mnie od początku. Więc zaczęłam opowiadać mu z najdrobniejszych szczegółami moje przygody seksualne, nawet zmyślałam, żeby było ciekawiej, bardziej podniecająco. Mówiłam mu o orgiach, i to nie tylko o tych, które organizowaliśmy razem. Widziałam, że jego metoda psychoanalityczna idzie w kąt, że facet gubi się, nie może jasno myśleć, sperma zalewa mu mózg. On również zaczął mnie nienawidzić. Bo po seansie, za który dostawał sto dolarów, wychodziłam obojętnie, a on zostawał w gabinecie ze spuchniętymi jajami.

— Skąd wiesz? Mogł po twoim wyjściu otworzyć okno i wietrzyć, wdychając z ulgą.

— Nie bądź chamem. Na mnie nie ma silnych. Zresztą sam się przynął.

— Przyznał się do spuchniętych jaj?

— Dokładnie. Słuchaj, pewnego dnia miałam dość zabawy w kotka i myszkę. Wiedziałam od początku, że ma na mnie ochotę, a mnie też on się podobał. Więc pewnego dnia po prostu go zerzgnęłam.

— A więc miał rację: jesteś chłopem... I co?

— Absolutne szczęście. Facet

mi, że po każdej mojej wizycie walił konia, a czasem siedział na kurwy. Określiłam jego reakcje jako infantylne podejście do seksu. Potem zaczął mi opowiadać o swoim życiu intymnym. Okazało się, że nie jest z żoną szczęśliwy, że narobił kupę dzieci jakimś kobietom, rozwodził się kilka razy, teraz ma dwie kochanki, które go szantażują, słowem bałagan na całego. Próbowałam mu jakoś pomóc, jednocześnie dziwiłam się, że taki uczone, specjalista od tych spraw, a sam nie potrafi sobie poradzić.

dwojgiem tamtych nie nastąpiło zbliżenie.

— Dziecko, zrozum — tłumaczył jej Duch — nie powiedziałem jej z jednej, prostej przyczyny: ja na tę kobietę nie mam po prostu ochoty.

I w to, właśnie Kalina nie mogła uwierzyć. Jak można nie mieć ochoty na Georgię?

— Gdybym była mężczyzną — powiedziała z przekonaniem — zawsze miałabym na nią ochotę.

— Każda ochota w końcu zostaje zaspokojona. Odszedłem przecież od niej, powinno ci to wystarczyć.

Dopiero po wielu latach Kalina nabrała pewności, że wtedy Duch mówił prawdę. Ale Jean-Berthold nie nie mogło wybić z pewnością: przecież to nieomal w jego obecności Georgia zgwałciła stajennego! Wygarnął jej to, kiedy Duch z żoną odjeżdżali.

— A co miałam robić? — krzyczała Georgia po francusku i angielsku na zmianę. — Widzę, stoi rozebrany do pasa w drzwiach stajni, słonice lśni na jego muskulach, opalony, szczupły, prężny jak tygrys... Zostawić takie cacko? Przecież to przestępstwo przeciw naturze! Wciągnęłam go do wnętrza...

— O mało co zostałabym wdowcem — skarżył się jej mąż. — Wcisnęli się gdzieś tam za konie i narobili takiego szumu, że konie się spłoszyły, zaczęły wierzeć, i byłoby ich zatratawały, gdybym nie przyszedł w porę. Czy

Pojeździli trochę po mieście, starając się utrzymać „walking distance” od firmy Kaliny, żeby mogła chodzić pieszko do pracy. Nie lubiła prowadzić samochodu.

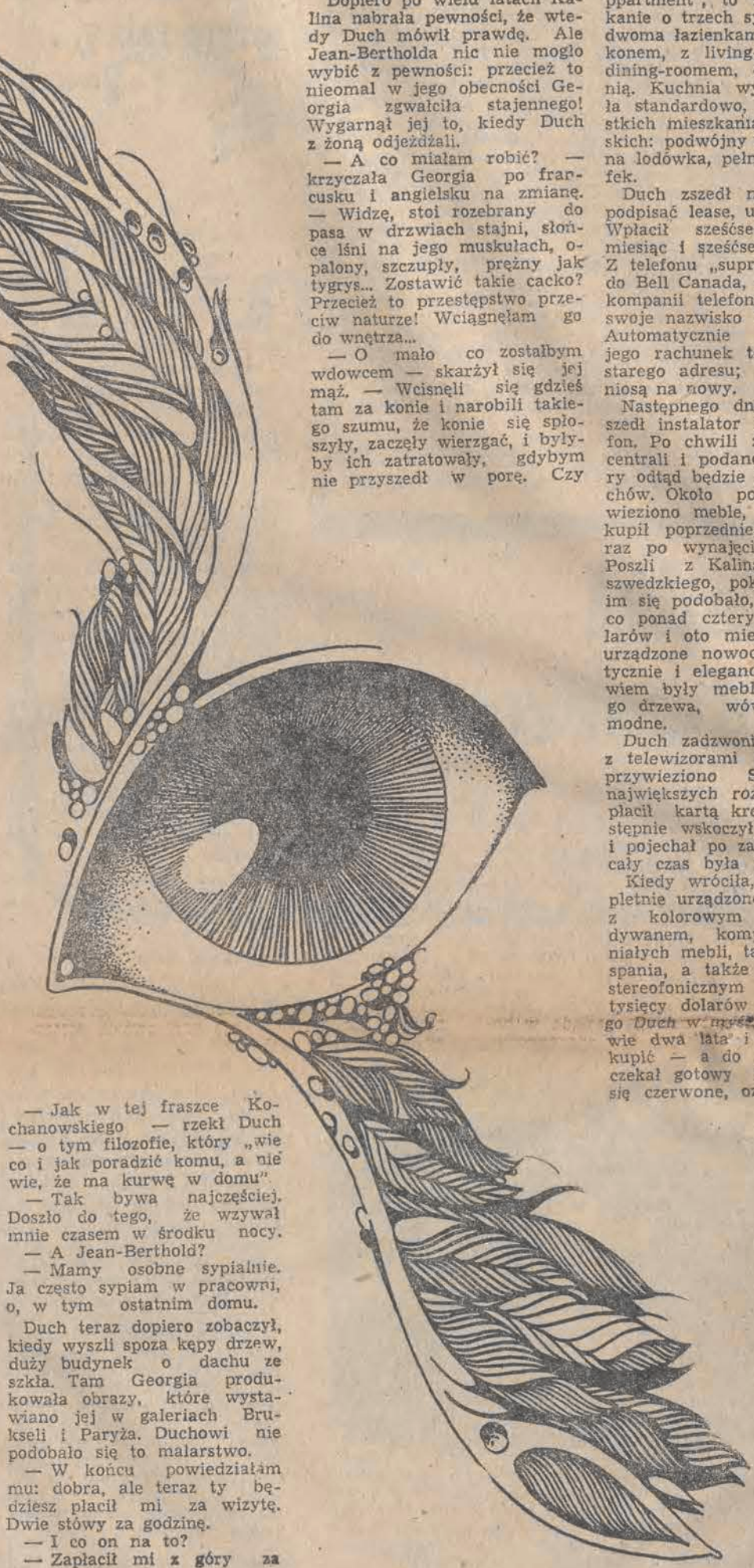
Przeglądali się budynkiem z zewnątrz, aż w końcu jeden spodobał się bez zastrzeżeń. Zadzwoili przez „intercom” do gospodarza, zwanego w Kanadzie „superintendent”, i po chwili wjechali szybko i niepokalanie czystą windą na czternaste piętro. Spośród wolnych, odmalowanych mieszkani o lśniących podłogach, wybrali „three bedroom apartment”, to znaczy mieszkanie o trzech sypialniach z dwoma łazienkami, dużym balkonem, z living-roomem oraz dining-roomem, czyli z jadalnią. Kuchnia wyposażona była standardowo, jak we wszystkich mieszkaniach kanadyjskich: podwójny zlew, ogromna lodówka, pełny zestaw szafek.

Duch zszedł na dół, żeby podpisać lease, umowę na rok. Wpłacił sześćset za pierwszy miesiąc i sześćset za ostatni. Z telefonu „supra” zadzwonił do Bell Canada, to znaczy do kompanii telefonicznej, podał swoje nazwisko i nowy adres. Automatycznie zlikwidowano jego rachunek telefoniczny ze starego adresu; różnicę przeniosą na nowy.

Następnego dnia rano przyszedł instalator i złożył telefon. Po chwili zadzwoniono z centrali i podano numer, który odgła będzie numerem Duchów. Około południa przywieziono meble, które Duch kupił poprzedniego dnia, a zaraz po wynajęciu mieszkania. Poszli z Kaliną do sklepu szwedzkiego, pokazali to, co im się podobało, zapłacili nieco ponad cztery tysiące dolarów i oto mieszkanie było urządzone nowocześnie, praktycznie i elegancko, ładne bowiem były meble z teakowego drzewa, wówczas bardzo modne.

Duch zadzwonił do sklepu z telewizorami i po godzinie przywieziono Sony Trinitron największych rozmiarów. Zapłacił kartą kredytową. Następnie wskoczył w samochód i pojechał po zakupy. Kalina cały czas była w pracy.

Kiedy wróciła, zastała kompletnie urządzone mieszkanie, z kolorowym telewizorem, dywanem, kompletem wspólnych mebli, tapczanami do spania, a także z systemem stereofonicznym za dziesięć tysięcy dolarów — zestawiał go Duch w „miejscu” przez prawie dwa lata i wiedział, co kupić — a do tego na stole czekał gotowy obiad i palący się czerwone, ozdobne świece.



Rys. Dariusz Romanowicz

wiesz — zwrócił się do Duchy po angielsku — że tamten skurwysyn był tak bezczelny, że jeszcze kiedy go wyrzucałem z pracy, to widziałam, że mu ciągle stoi! Takiego bezczelnego drania jeszcze nie spotkałem. Ale teraz coraz więcej tego pospólstwa się pieni, świat osuwa się w dół bez ratunku...

— Prosto między rozwarte nogi Georgii — powiedział Duch i odjechał z Kaliną w swoją drogę.

W Kanadzie czekała ich niespodzianka: kilka ofert z różnych firm. Najbliższa znajdowała się w mieście Hamilton, pół godziny samochodem ze śródmieścia Toronto. Duch zawiadził Kaliną na rozmowę z dyrektorką. Po godzinie Kalina pojawiła się zmęczona, ale uśmiechnięta. Dostała pracę.

— Wobec tego robimy bazę w Hamiltonie — powiedział Duch. — Od kiedy zaczynasz?

— Od jutra.

— To dzisiaj musimy wynająć mieszkanie.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ